Pani



Nr. 4—5 KWIECIEŃ—MAJ CENA MK. 12.000



SUKNIE
KOSTJUMY
OKRYCIA
Lucyna
WARSZAWA * BODUENA * № 2
J. G. 1923.

P O C I E S Z Y C I E L K A

NOWELA A. ALLAIS

Mój Boże, jak bezgranicznie jest się głupim za młodu!

Co prawda, starzejąc się, też niezawsze... człowiek mądrzeje ..

Ale — dosyć! Wszystkie te niezmiernie mądre i głębokie aforyzmy nie mają nic wspólnego z historją, która zostanie tu opowiedziana.

Otóż — spory to kawał czasu temu, tak dość spory! Mój Boże jakże to już dawno! Trapiły mnie wtedy jakieś zgryzoty miłosne.

O — proszę nie uśmiechać się tak ironicznie — było to prawdziwe zmartwienie — un chagrin d'amour! pełne rozpaczy, łez. — Słowem, tragedja!

A pozatem, czułem się tak boleśnie dotknięty, urażony.

Przyjaciółeczka moja, bardzo, bardzo miłe i kochane stworzonko — (jeżeli sobie dobrze przypominam, na imię było jej Helena — tak, tak, Helena! — a może i nie? — Kto wie, czy nie Irena?) — aha! -- tak! Więc otóż ta przyjaciółeczka właśnie porzuciła mnie, zamieniając moje uduchowione, natchnione 23 lata na 35 posępnych, ponurych lat jakiegoś mrukliwego Rumuna z tego samego pensjonatu; podobno studjował medycynę. Absolutnie w to nie uwierzę. Bo i kiedy, zapytuję bezstronnie, kiedy studjował? W dzień? — Toż spał? W nocy?... Nie mówmy o tem lepiej.

Byłem więc wtedy bardzo nieszczęśliwy... cierpiałem! W ciągu dnia udawało mi się zagłuszyć nieco swoje cierpienia — chodziłem, spotykałem znajomych, pożyczałem pieniądze, piłem kawę czarną, absynt... i boleść, z serca płynącą bez przerwy, też piłem.

Ale noce! Noce były okropne!

O! te powroty nad ranem do samotnego, niesprzątniętego pokoju! O!

O! fotografje na ścianach przybite z których wyzierają czyjeś oczy, czyjeś usta! O! (Reprodukcyj znanych obrazów nie brałem w rachubę).

O, porozrzucane na stole listy, wiersze, rachunki, manuskrypty!...

Słowa wskrzeszały się, żyły, dźwięczały pieszczotą, radością upojeniem. (Wyłączając rachunki).

O bezgraniczna rozpaczy!

Wszystko było już dokładnie uregulowane, miało nawet swój szablon.

Natymiast po powrocie do domu, nie zapalając lampy — bo to już był dzień! — rzucałem się na łóżko i zaczynałem płakać! Płakałem dużo i długo.

Zadziwiające, skąd bierze się w człowieku, w mężczyźnie — taka ilość łez!

Płakałem szczerze, z całych sił, jak umiałem najlepiej!

Po pewnym czasie, otarłszy łzy, zmieniwszy bieliznę pościelową, która była kompletnie mokra, bibułą zaś wysuszywszy zwilżone części ciała i ubrania, oddawałem się następnej czynności, mianowicie kontemplacji Jej podobizny, których miałem ogromną ilość (dokładnie 32 lub 49 sztuk, różnych formatów, en face, z profilu, i wcale nie podobnych także).

Uświadamiałem sobie uporczywie, że wszystkie te cuda... te usta, te usta... (może nawet trochę za duże...)... ten nosek... Mój Boże!... (czy nie zanadto zadarty?... że to wszystko, to wszystko stracone dla mnie!

Łkania zaczęły wzbierać w mej piersi... wybuchały na nowo... i druga porcja codziennej rozpaczy rozpoczynała się...

* * *

Patrz str. 5.

Pewnego wieczoru, kiedy byłem zajęty tą pracą, usłyszałem około swoich drzwi „ratatap"... (Właściwie dotychczas używano dla określenia pukanie do drzwi dzwięków „toc — toc" — ja osobiście wolę „ratatap", to brzmi bardziej nowocześnie) kiedym więc posłyszał, to o czem wyżej, poczułem, że przebiega mnie dreszcz! Wyraźnie to czułem! Więc to ona! Zjawiła się, wyczarowana mojem cierpieniem!

— Kto tu jest?...

— To... ja!... — odrzekł głos piękny i słaby...

— Kto ja?

— Córeczka tej pani, która mieszka obok pana, w tym samym korytarzu...

Otworzyłem drzwi.

Śliczna, jasna główka ośmioletniej — a może dziewięcioletniej — dziewczynki...

— Czy pan nie jest chory?

— Ja?... Nie?... Dlaczego?...

Bo już od trzech godzin słyszę, że pan ciągle płacze i jęczy...

— Nie, nie jestem chory... Płaczę, bo mam zmartwienie...

— Ah!...

— Ale, wejdź, dziecinko, do pokoju... W korytarzu jest chłodno... Czy to mamusia przysyła cię tutaj zapytać się...

— Oh — to nie mamusia... Mamusi niema wcale w domu... Jeszcze nie wróciła...

Zabawna, mała! Takie figlarne, mądre oczka!... A duża cała ta dama, jak figa!...

Musiałem jej opowiedzieć całą swoją historję... uparła się, że muszę opowiedzieć!...

— Aha!... teraz już wiem, która to ta pańska kochanka, — powiada ten chrabąszcz!... — To ta w futrze z małp i w szarym kapeluszu... prawda?... Kapelusz niebardzo był odpowiedni — ale to moje zdanie, może się mylę... Parę razy spotkałam tę panią na schodach... Teraz już wiem... to ona?... prawda?...

— Tak... to ona!...

— Wygląda bardzo dobrze... Robi dobre wrażenie!...

— Nie mówię też, aby była złą kobietą, a jednak...

— O!... Niech się pan nie martwi — może ona wróci, kto wie!... Z kobietami, proszę pana, to nic niewiadomo...

Patrz str. 7.

Dziewczyna pocieszała mnie, jak mogła. Opowiedała mi swoją historja, też niezbyt wesołą.

Matka była służącą w którejś dużej restauracji na bulwarach. Mała dotychczas była gdzieś na wsi — teraz odesłano ją do matki... jakieś kwestje pieniężne... Teraz z matką mieszka obok...

Tej nocy matka długo nie wracała... Wydało mi się to niebardzo pedagogicznem, nie wyrażałem jednak swego zdania...

Było już doprawdy późno.

Zaproponowałem małej, aby poszła spać...

— O... nie jestem wcale śpiąca...

— To wszystko jedno... idź spać, malutka, gdyby cię tak tu kto widział u mnie o tej porze... Ładna historja...

— No, to... dobranoc... to... ja sobie pójdę...

Po chwili... dodała:

— Ale to szkoda, że nie jestem jeszcze duża...

— A to dlaczego?...

— Bo... bo... jabym pana chciała pocieszyć w tem zmartwieniu!...

Drogi, kochany dzieciak!...

W tem, co powiedziała, nie było cienia zepsucia, zapewniam — to był jej prosty, najbardziej naturalny objaw dobroci i współczucia!...

Poszła spać... ...Zostałem sam..... Było mi bardzo głupio....

* * *

Nazajutrz wyprowadziłem się z tego pokoju... Nie mogłem dłużej pozostać w atmosferze, przesiąkniętej wspomnieniami... (Zgódźmy się, że był to jedyny i najważniejszy powód, dla którego wyprowadziłem się.

„Z miłości nikt jeszcze nie umarł".

„Czas goi wszystkie rany".... i t. d. jednem słowem... wszystko minęło....

. . . .

W ubiegłym typodniu byłem nad morzem. — Maleńki, zgrabny yacht zawinął do portu. Uderzyła mnie komiczna jego nazwa: „Wieloryb", po chwili na pokładzie spostrzegłem tego cymbała, snoba i właściciela yachtu w jednej osobie. Jacka... Przedstawił mnie swojej przyjaciółce. Maleńkie rozkoszne stworzonko, całe zawinięte w woale, szale, skóry, pledy...

Jack udaje przede mną morskiego wilka... wydaje dyspozycje załodze yachtu... ma minę admirała!... Maleństwo powoli oswobadza się od szalów, pledów i t. d. Spokojnie zapytuje mnie:

— No i cóż... czy jest pan wciąż jeszcze niepocieszony?...

— Niepocieszony?... Z jakiego powodu.

Przypomina mi wszystko co było...

— Więc to pani... jest tą maleńką dziewczynką... wtedy...?...

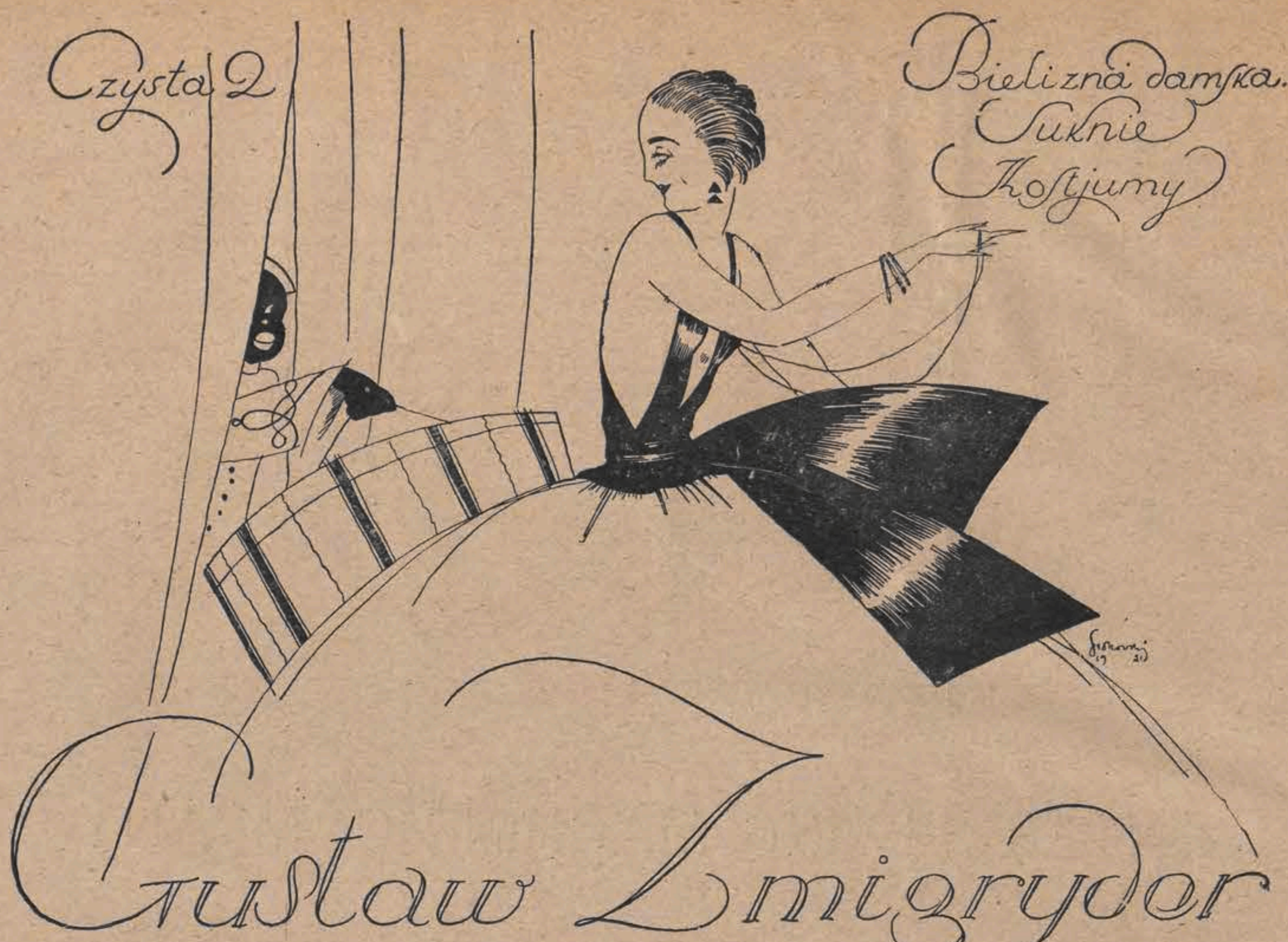
Robię najnieszczęśliwszy wyraz twarzy...

Może zechce mnie pocieszyć dziś, jak wtedy, kiedy była jeszcze małą dziewczynką...

A swoją drogą, jak szybko rozwijają się takie maleństwa...

Zawsze byłem idjotą!...

Tłom. J. BRODZKI


Czysta 2
Bielizna damska.
Suknie
Kostjumy
Gustaw Zmigryder

Pani

PISMO POŚWIĘCONE KULTURZE I ESTETYCE ŻYCIA

Nr. 4—5 KWIECIEŃ — MAJ 1923 ROK II



GÉRARD *ORDYNATOWA STANISŁAWOWA ZAMOYSKA*



PANI SFINKS

W poprzednim zeszycie łaskawej „Pani" zamieściłem bardzo głębokie rozważania na temat „koszuli kobiety szczęśliwej". Mógłbym ją dziś nazwać koszulą śmiertelną, tyle bowiem niewinny ten, subtelny i, rzecby można — batystowy temat, wywołał goryczy i protestów, klątw i złorzeczeń na moją głowę; oburzyły się kobiety „barchanowe" i „wełniane", skąd inąd niezwykle miłe. Jestem zgoła niepocieszony. To dobre wyrażenie „zgoła" niepocieszony, bo właśnie szło o goliznę. Nigdy jednak nie tknę już takiego tematu. Przyznaję, że było to nieładnie z mojej strony, i będę się starał z wielkiego smutku osiwieć.

Należy rozważać zagadnienia nie tak powierzchowne, znajdujące się tuż pod suknią. Możnaby wznowić odwieczne pytanie: „czy kobieta ma duszę?" i czy możliwe jest twierdzenie starożytne, że dusza kobiety znajduje się w żołądku? Ohydne to twierdzenie napawa mnie jednakże takiem oburzeniem, że się nad tem zastanawiać nie mogę. Kobieta ma duszę wszędzie: w ustach, na języku, w pudle od kapelusza, w podróżnej torebce, w sztambuchu, we flakoniku perfum, nawet w piersi, — nigdy jednak w żołądku. Tylko chamstwo starożytne mogło się zdobyć na dowcip taki lichy.

Wdzięcznym tematem do rozmyślań może być pytanie, dlaczego od początku świata nikt nigdy jeszcze nie zrozumiał kobiety? Ha! to rzecz do rozmyślań wyborna.

„Niezrozumienie" jest tragedją wieczystą anielskiej kobiecości. Jeśli trzeba kobiecie powiedzieć komplement pierwszej klasy, taki na wyrost, mówi się jej:

— Ten człowiek pani nie zrozumiał... Biedna pani!

Komplement taki jest zwyczajnem, kieszonkowem łajdactwem, nikt jednak nie poradzi na to, że wprowadza on kobietę w upojenie.

— On mnie nigdy nie rozumiał! — powiada kobieta o mężu do porucznika ułanów, z czego wynika, że Imanuel Kant przypadkiem tylko nie był porucznikiem ułanów, godność ta bowiem ze względu na głęboką jego mądrość stanowczo mu się należała.

Kiedy kobietę boli głowa, winien jest temu mąż, który jej nigdy nie rozumiał. Kiedy jest w domu awantura o obiad, kobieta mówi:

— Albo ty mnie możesz pojąć? Boże! Boże! w jakie ja się dostałam ręce!

Można zauważyć, że im mąż jest starszy, tem mniej rozumie; zamiast żeby z wiekiem przybyło cośniecoś z filozofa, dzieje się przeciwnie — staje się z niego coraz większy bęcwał, to też któż może mieć za złe biednej kobiecie, że w owej chwili powiada do modnego aktora:

— Pan jeden mnie zrozumie, pan jeden!

I dziwna rzecz: taki młody, taki trochę głupawy, bez znajomości życia — a zaraz ją zrozumie.

Są to jednak „zrozumienia" przygodne, bo właściwie, kobieta jest niezrozumiana przez całe swoje życie. Już panienki piszą w swoich pamiętnikach: „... 19 marca. Na obiad był tort czekoladowy. Cioci Felci wypadła przy stole szczęka. Znowu deszcz. Jestem nieszczęśliwa. Nikt mnie nie rozumie"... Kiedy starsza już pannica nie wyszła w karnawale zamąż, to tylko dlatego, że jej nikt nie rozumiał. I tak bez końca, aż do czasu, kiedy kobieta jest w tym wieku, że już sama siebie nie rozumie. Ponieważ jednak kobieta nigdy do takiego wieku nie dochodzi, więc właściwie całe jej życie jest jednem pasmem udręczeń, jedną straszliwą tragedją — niezrozumienia.

Nie wiem, czy kto zauważył celowość i mądrość póz kobiecych. Jest w niej taka głębia tajemnicy nieodgadnionej, że kiedy kobieta zastanawia się nad życiem, zawsze się kładzie na brzuszku, rękoma podpiera brodę i patrzy błędnemi szklanemi oczyma — w bezkres. Poza ta ludziom niemyślącym przypomina przycisk na biurko, lub żelazko do prasowania, ludziom głębokim przypomina Sfinksa. Mąż nigdy takiej pozy nie zauważy, bo kiedy kobieta zaczyna patrzeć w ów bezkres, mąż ucieka z domu, wobec kochanka zaś kobieta ukazuje się (podobno) w pozie zasadniczo odmiennej.

Kobieta — sfinks!... To wielkie, ciężkie, straszne słowo. Jest w niem powaga śmierci i pociąga-

jąca groza przepaści. Stare Egipcjany wiedziały, czem jest kobieta! Sfinks ma piersi kobiece, pyszne, nabrzmiałe, podane ku przodowi, zwrócone ku palącej pustyni, po której wałęsają się się wielbłądy. Nikomu nie przymawiam, ale te wielbłądy mają w tym gorącym obrazie swoje znaczenie.

Cześć za to Egipcjanom, że umieli czcić kobietę i uczynili z niej najdziwniejsze stworzenie, jakie ktokolwiek kiedykolwiek wymyślił. Kobieta i lew, czy jakiś tam inny dziki stwór. To mi jest pomysł! Nie pół kobiety i pół ryby, nie pół kobiety i pół byka, — lecz pół kobiety i połowa lwa, co w starym egipskim języku musiało oznaczać: nie kijem go, to pałką!—nie kobietą go, to pazurami lwa!

Tylko oszczerca płytki i zjadliwy może twierdzić, że kobieta nie jest zagadką, choćby dlatego, że widoczne są częste rozwiązania. Poza tem jednak jest zagadką właściwie niezgłębioną. Czy Salomon mógłby przewidzieć, co zrobi kobieta? Salomon nie był taki głupi, aby się nadaremnie nad tem zastanawiać. Czy Sokrates mógł wywnioskować, co zrobi Ksantypa? Sokrates zaprawdę, nie mógł tego wywnioskować. Czy Ferdynand Hoesick może przypuścić, czego zażąda kobieta? Na wszystkie sfinksy świata! Nawet Hoesick tego nie zdoła... Jeżeli tedy największe powagi wszystkich wieków nie zdołały zejść do tej przepaści, na której dnie, w zielonym mroku i sinym chłodzie mieszka dusza kobiety, — jakżeż nie przyznać, że kobieta jest sfinksem po kres czasu nieodgadłym?

Litość bierze, kiedy się obserwuje tę mękę wieczystą niezrozumienia. Oburzenie chwyta na myśl, że ludzie dotarli do wnętrza ziemi, dostali do gwiazd, musnęli spojrzeniem wszechświat, odkryli siedemdziesiąt kilka pierwiastków, znaleźli bakcyla tyfusu i cholery, odkryli sposób na wzrost biustu, prostują nogi, nosy i łopatki, a nikt się nie zatroskał, aby wreszcie – zrozumieć kobietę. Strach wam, o uczeni, lęk was chwyta, o, genjusze! Bo każdy z nich drży na myśl, coby ujrzał, gdyby zdołał przejrzeć ją, sfinksa!

Myślę, że dziewięciu zwarjowałoby, a dziesiąty by się powiesił.

Zanim więc wynaleziona zostanie formuła na treść duszy kobiecej, trzeba uczynić wszystko, by kobieta jak najmniej czuła ciężar tej straszliwej tajemnicy, która ją przygniata od narodzenia świata. Trzeba kłamać. Straszliwy sfinks pocieszy się nawet takim okruchem współczucia. Czyniono raz próbę w Zakopanem, w Sanato. Djalog był taki:

— Czemu pani taka dziwnie smutna?

(To „dziwnie" jest konieczne)!

— Sama nie wiem... Tak mi jakoś...

— Niech pani powie... Mnie przecież może pani powiedzieć...

(To „przecież" lub „chyba" jest konieczne)!

— Nie wiem... nie wiem... mam wrażenie, że mnie tu nikt nie rozumie.

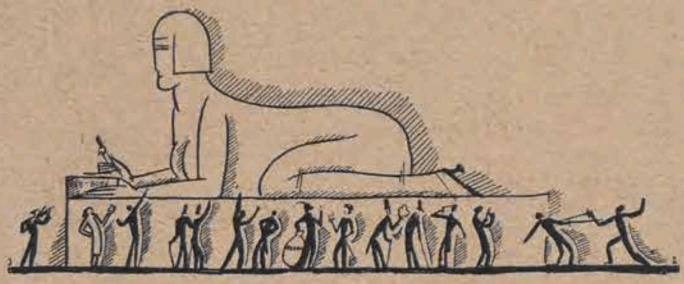
— Nikt? — (Głosem stłumionym — po pauzie — nerwowo i szybko): A ja? Ja panią zrozumiałem od pierwszej chwili...

Sfinks przymknął oczy, potem je otworzył i spojrzał w bezkres. A po chwili szepnął cichutko, jak muzyka:

— Tak!... tak... niech pan do mnie zajdzie po kolacji.

Ha! Czy to tak trudno pojąć sfinksa?

KORNEL MAKUSZYŃSKI



DLACZEGO TAK JEST A NIE INACZEJ?

Migały przed oczami z szybkością zawrotną
Spowite w kłęby dymu rozkwitłe kasztany —
Kraśne kwiaty na łąkach, jakby krwawe rany,
Wiatr nucił jakąś piosnkę tęskną i przewrotną.

Wydało mi się wtedy, że jedziemy razem,
Że jest to pierwsza podróż, tak zwana poślubna,
I znikła raz na zawsze moja mara zgubna,
Coś, co było czy Goy, czy Rops'a obrazem.

Że z twojej butonierki spływa woń storczyków,
Że siedząc naprzeciwko, jesz kawałek tortu —
Wagon restauracyjny jest pełen komfortu.
Szepczesz słodkiemi usty: „Najmilszy z chłopczyków".

Wszystko jest rozkochane, szczere, takie jasne,
Wszyscy się śmieją, cieszą i wszyscy są dobrzy;
Bóg się weseli z nami, anieli są szczodrzy,
Dając każdemu proste szczęście, jego własne.

Ocknąłem się na chwilę. Jakieś przebudzenie.
Deszcz pada. Liście płaczą i dziwnie łopocą.
Pociąg jedzie gdzieś naprzód. Jadę nie wiem poco,
A moim towarzyszem jest tylko zmęczenie.

WACŁAW ZYNDRAM-KOŚCIAŁKOWSKI

PANI A HISTORJA

Wydawca miesięcznika „Pani" zwrócił się do mnie z propozycją pomieszczania w tem sympatycznem piśmie sylwetek wybitnych kobiet z minionych wieków. Czy będę mógł spełnić to życzenie, nie wiem; sama myśl jednak zainteresowała mnie bardzo.

„Historja jest mistrzynią życia", powiadają; jeżeli aforyzm ten mówi prawdę, godnem podziwu jest, że większość kobiet daje sobie tak nieźle radę w życiu, tak mało znając historję. Mam na myśli ich historję; historja bowiem, jak wszystko prawie co żyje, jest dwupłciowa: męska i żeńska. Mężczyźni, którzy wogóle gospodarują na kuli ziemskiej jak w podbitym kraju, zagarnęli w ręce nauczanie; kobiety zaś dały je sobie narzucić w historji jak w innych gałęziach wiedzy. Tak jak dowiadują się w szkole, kto pierwszy skroplił tlen, zamiast się dowiedzieć, kto go pierwszy użył do złocenia włosów, tak samo uczą się wojen, których nigdy nie będą toczyć, i traktatów, z których nigdy nic nie zrozumieją. Wiedzą, po kim nastąpił Pipin Mały, a nie wiedzą po kim nastąpiła pani de Pompadour; znają politykę Ludwika XIV w stosunku do protestantów, a nie znają polityki pani de Maintenon w stosunku do Ludwika XIV... O, kobieto! gdybyś ty miała odwagę być sobą, czyż tu, na Krakowskiem Przedmieściu, na miejscu figury Kopernika, nie wznosiłby się raczej pomnik Ninon de Lenclos, która odkryła sekret (znów później zagubiony), jak być pożądaną do ośmdziesiątego roku życia? Czyż nie jej raczej przystało godło, nieco pretensjonalnie uzurpowane przez toruńskiego astronoma, że „jak Jozue, zatrzymał słońce w biegu"?...

Wspomniałem, że, w życiu prywatnem, intuicja dość dobrze uzupełnia kobiecie luki w znajomości dziejów. Ale życie prywatne to nie wszystko. Jesteśmy dziś w epoce budowania własnego ustroju państwowego. My, mężczyźni, dajemy co możemy: dostarczamy najwyższych dostojników państwa, ministrów, ambasadorów... a i tak zarzucają nam, że niedość jesteśmy przygotowani do tej dziejowej chwili. A cóż powiedzieć o was, o kobiety? Czy głos historji nic wam nie szepce w tym momencie? Czy nie podsuwa żadnej szlachetnej ambicji? Czy już zupełnie zatraciły się w niepamięci tradycje epok, gdy urocza „faworyta", władając sercem monarchy lub jego ministra, rozlewała na cały kraj dobrodziejstwa światłego i łagodnego panowania?

Pomnij, o PANI, pałacyk pani Grabowskiej w Łazienkach oczekuje lokatorki...

Historia est magistra vitae!

BOY

WŁAD. SKOCZYLAS DRZEWORYT





PANI VLASTA WANCZEWOWA z domu Kotikova

Najmłodsza z małżonek dyplomatów, akredytowanych przy rządzie Rzplitej, która dnia 3 września 1922 r. zaślubiła w Warszawie „chargé d'affaires" bułgarskiego



W. ROGUSKI KAWIARNIA

ZE SZTUKI

„ŚWIT“ — SKOCZYLAS, STROŃSKI I IN.

— Co słychać w ponurej kamienicy? — pytam szanownego kustosza Zachęty, gramoląc się po schodach na pięterko wystawy.

— Iii! — odikuje szanowny kustosz.

— Tak! — potakuje moja osoba i pnie się dalej na „ekspozycję“.

„Świt“.

Czemu nie? Lepszy „Świt“ niż np. „Do góry wąsy!“ czy „Na bakier melony!“ albo moja „Pani“ nawet „Sursum Corda“.

De jure, de facto i de nomine lepszy!

Poznań, „zacofany“ Poznań, wziął o całą długość, objętość i zawartość głowy młodą plastyczną Warszawę, tem łatwiej, że skusił do siebie utalentowanego i kulturalnego artystę Wacława Roguskiego. „Świt“ — to zespół doskonale zgrany, mający nietylko wielkie aspiracje i zamiary, ale i dane po temu, mianowicie: wielkie talenty.

Br. Bartel, świetny dekorator w najlepszem tego słowa znaczeniu, kompozytor nie bylejaki, przedstawił się Warszawie jako plastyk o kulturze zachodniej, pogłębionej sumiennemi studjami i własnemi przemyśleniami.

Na wysokim zresztą poziomie stoją prace wszystkich członków „Świtu“. Dalecy od ekscesów malarskich i wynalazków nowych, przemijających efektów, każdy z nich dał pracę zwartą i skończoną. Kapitalne martwe natury Lama zaliczyć można do obrazów pod względem solidności konstrukcyjnej u nas bodaj że niewidzianych. Roguskiego „Kawiarnia“ i głowy mają wdzięk talentu szczerego. To samo prawie można powiedzieć o Elsterze.

Wiwat „Świt“.

Willa prace, znane już poprzednio z wystawy w Klubie Artystycznym, są przypomnieniem Weissowskiej degrengolady po schodach od mieszkania, raczej pracowni mistrza Renoiza. Niema w nich tylko sprytu Weissowskiego i jemu właściwych figmig koziołeczków, truczków i yoczków.

Wystawa młodego artysty, malarza z Przemyśla,



S. LAM PTASZNIK

Strońskiego zapowiada malarza na przyszłość bardzo tęgiego. Dziś wszystko jest szczere, uczciwe i wdzięczne, obecność talentu bezsprzeczna, ale... Gdyby tak trochę więcej kultury! Z całej plejady podobnych do Strońskiego malarzów on jeden ma najwięcej praw do tego tytułu. Piotrowski Wacław po pobycie w Paryżu odgrzebuje z masy wrażeń własną twarz. Zdaje się, że już, już trafił! Rafał Wąsowicz nie jest Wacławem Wąsowiczem—przysięgam! Rudzka Zofja trudno sobie radzi, albo wcale nie radzi z trudnościami obrazu, jako takiego, zarówno, jak i samego motywu malarskiego, który sobie nieszczęśliwie obrała. Portret się nie liczy!

Kopcińskiego kwiatom niewiele brakuje, chyba trochę czystości, kwiaty malowane, nawet dosyć dobrze malowane, to jeszcze nie obraz. Prawda, proszę „Pani"?

Któż nie zna Skoczylasa?

Każda ściana w Zachęcie cierpiała już od gwoździ wbitych dla jego obrazów, akwafort, drzeworytów i rysunków.

W każdym polskim domu, mniej więcej zamożnym, wisi jakiś mały Skoczylasik.

P. Paszkowska boso tańczy à la Skoczylasowe Zbójniki.

Każdy mówi: O, Skoczylas to!... Ba Skoczylas!... Żeby tak, jak Skoczylas! Ho, ho Skoczylas!

Tymczasem Skoczylas ma w Zachęcie swą wielką, zbiorową wystawę grafiki, o której tyle już w swem życiu, prawdę mówiąc w ostatnich trzech latach jego, pisałem, że już nie mogę, tem bardziej że... Któż nie zna Skoczylasa? Niezadługo wystawy „Rytmu" w Łazienkach i „Sztuki" w Zachęcie. U Garlińskiego wystawa zbiorowa.

Czajkowski się wyprzedał i wyprowadził do Kazimierza. Na ścianach salonu przy ulicy Mazowieckiej zawiśli: Fałat, Wyczółkowski, Malczewski, Muterowa, Zawadowski, Zawadzki i inni.

Tylko Garliński stoi.

Żywot „Sztuki"—stowarzyszenia artystycznego, którego założycielami byli m. in. Chełmoński Józef, Stanisławski Jan i Wyspiański Stanisław, toczy się po wyboistej drodze współczesności jedynie siłą energji. Z trudem nieliczni członkowie „Sztuki" łatają płaszcz przebrzmiałego dostojeństwa. Dawna godność tu i owdzie przeciera się, ukazując prawdę gorzką w całej ohydzie swej prawdziwej naturalności.

„Sztuka" stanęła na miejscu. Wyprzedziła ją treść czasu odmienna, wyraz nowy pognębił ją, pozbawiając wszelkiego blasku. Jeden Dunikowski jest tam człowiekiem nowej myśli. Jego portrety kobiece stoją na poziomie obecnych usiłowań. Przemawiają do nas mową czasu powojennego i dlatego są dla nas zupełnie zrozumiałe i bliskie. Wogóle rzeźba wspięła się ponad malarstwo „Sztuki". Rzeźba idzie, malarstwo albo stoi, albo się wlecze.

Obraz Stabrowskiego, którego może umyślnie nie podano w katalogu, wybija się na miejsce pierwsze



W. ROGUSKI GŁÓWKA DZIECKA



BR. BARTEL — PORTRET

zasadniczej bezwartości. Pozatem wszystkie obrazy, prawdę rzekłszy, mają pewną podstawę, pewien dawny solidny fundament malarski. By im jednak wiele darować i uczciwie ocenić, trzeba przywołać do pomocy pamięć.

Cóż to poczniemy z obrazami obecnie wystawionemi Axentowicza, jeśli nie dopowiemy sobie że: — jednak kiedyś ten malarz namalował kilka rzeczy doskonałych. Pamięć musi nam przewodniczyć po wystawie „Sztuki" — inaczej!...

Boże, co za fatalny rozpęd człowieka, który zupełnie zapomniał, że na okładce miesięcznika stoi wypisane: „Pani"!

„Pani" jest pełna kobiecej ciekawości, jest dobrze wychowana i ma bezgranicznie dobre serce.

„Panią" niezawodnie bardzo i głównie obchodzą „Modystki" Weissa. Prawda? Czy to w Paryżu, czy w Krakowie? — Nie wiem! Sichulskiego Kazimierza „Konie" i „Krowy". Woli „Pani" — „Pieśń" Łuczyńskiej—Szymanowskiej, albo może kwiaty Filipkiewicza, oto: Gencjana, Azalja, Kamelja, Chryzantema, Kapus... ah przepraszam za choux sans fleures.

Chciałbym, żeby „Pani" zobaczyła kompozycje Jarockiego z nad morza. Jedno spojrzenie na d-ra Toqueramo - Brydzińskiego w Tajfunie.

Zresztą, niech cudne oczy „Pani" obejrzą wszystko. Warto!

J. Ż.



F. LUBELSKI — LEDA

CZY PANI LUBI KOMPLEMENTA?..

To banalne pytanie zadałam kiedyś jednej z moich znajomych.

Oh! ktoby ich nie lubił, odrzekła mi na to, ale uważam, że jedynie Polacy umieją zadawać naprawdę subtelne komplementy, tak subtelne, że trzeba być już bardzo wyrafinowanym, żeby się na nich poznać. Naprzykład, na jednym wieczorze pewien młody człowiek, który od dłuższego czasu asystował mi, nie pokazując tego jednak po sobie, zaciągnął mnie w odległy kąt salonu. Kazał mi przechylić głowę, położyć uszy po sobie, zmrużyć oczy i wskazał mi siedzącą pod kloszem czerwonej lampy piękną kobietę, obnażoną do połowy.

— Niech Pani spojrzy na te usta — zauważył, patrząc mi w oczy wyzywająco — co?

Musiałam mu przyznać, że były czerwone i wilgotne, jak dwie maliny nadgryzione przez ząb namiętności. Ale to określenie nie wystarczyło mu.

— Nie Pani, te usta są jak płomień — rzekł i opuścił moje zarumienione oblicze.

— Musi Pani przyznać, że to było aż nadto subtelne. Albo czy Pani nie zdarzyło się kiedy, wchodząc na salę balową, natknąć się na skromną lecz wykwintną postać swego adoratora. Na Pani widok Włoch lub Francuz ryknąłby (conajwyżej ze „sourdine'ą). Oh! Madame! que vous êtes belle ce soir! A na Pani wzruszony lecz nieszczery protest wpadłby napewno w ostry szał. Mais que si, que si, mais vous êtes jolie mais, croyez moi i t. d. Polak napatrzy się Pani po uszy przez dobry kwadrans, przyczem napomni coś naprzykład o wczorajszym postnym „stater-fifie“ u Hr. Dr. gdzie była lemoniadka, babka no i mazurek Dąbrowskiego na fortepianie, a potem dopiero zauważy, jakby od niechcenia, w dalszym ciągu przypatrując się Pani, bystrym, obywatelskim, niebieskim wzrokiem.

— Dobra suknia.

— Moja?—zawoła Pani z radosnem żdziwieniem — prawda, że ładna, a...

— Niezła. A teraz chodźmy do bufetu. To „dobra suknia“ to więcej znaczy, niech mi Pani wierzy, niż cały pan Włoch, ze swojemi „Oh que bella la signora polacca“, etc.

Bardzo mnie też rozczulił jeden z moich starych przyjaciół, mówiąc raz do mnie na wieczorze. „A w tej sukni to pani coraz ładniej“, było to najdelikatniejsze danie mi do zrozumienia, że pamięta co zwykle noszę na grzbiecie i poniżej. Jedna z moich przyjaciółek skarżyła mi się, że przyjaciel jej, spotkawszy ją na balu, rzekł z pewnym zawodem w głosie. — Ach! jak Pani cudnie wyglądała wczoraj. — Przyzna, złota Pani, że trudno o delikatniejszy komplement. Kiedyś także byłam świadkiem zręcznego pochlebstwa, podanego pod przykrywką doskonałego dowcipu. Znajomy mój pyta się swej uroczej sąsiadki, na proszonym obiedzie (muszę zaznaczyć, że owa sąsiadka choć mocno ładna miała niewielkie źrenice), „czy Pani lubi małe oczy? bo ja szalenie“.

— Na to ona, jakto, u kobiet?

— Nie.

— U myszy? — pyta w końcu ze śmiechem.

— Tak.

Był to, miły komplemencik, dowcipny i do słuchania przyjemny.

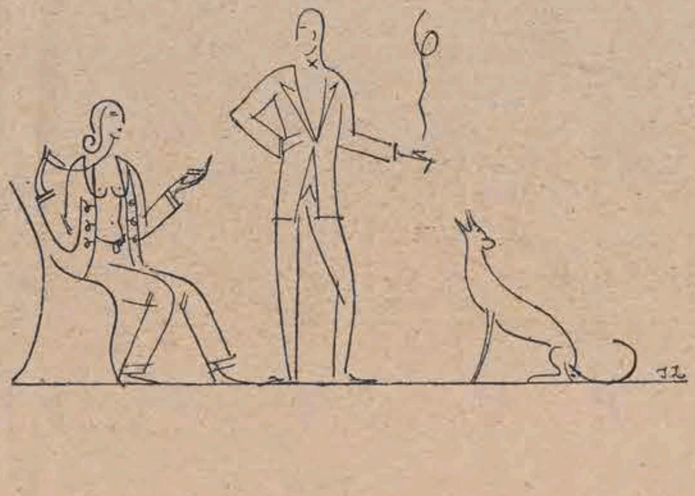
— No, a nasi mężowie — dodała po chwili odpoczynku moja znajoma z lekkiem wahaniem wachlarza — przecież nigdy nie powiedzą komplementu wprost, ale zwykle przez drugą lub trzecią osobę. Kiedyś przyleciała do mnie zdyszana moja kuzynka, wołając: wiesz, co powiedział mi twój Tadzio, „Zosia (mam na drugie imię Zofja) jest śliczna, ale pani ma bez porównania ładniejsze oczy“. Wogóle my, Polacy, jesteśmy nadzwyczajnymi mężami, no, i żonami. Czy Pani kiedy Polak zrobił na ulicy oko? Nie, a widzi Pani — a dlaczego? dlatego, że ciągle stoi im przed oczami własna żona. Do tego stopnia, że się nawet czasem mylą, i biorą inną kobietę za nią. Raz zdarzyło mi się jechać tramwajem naprzeciwko bardzo przyzwoitego gentelmena. Zdziwiło mnie mocno u porządnego Polaka takie natarczywe przyglądanie się samotnej kobiecie, myślałam z początku z przerażeniem, że może mi obcas odleciał od pantofelka, lub inny jaki brak tualetowy, aż tu nagle mój obserwator jak nie ziewnie na całą szerokość tramwaju, który zarazem przystanął, i musiałam wysiąść. Nic innego złota Pani, tylko zapewne wydałam mu się podobna do jego żony i biedaczysko przypomniał sobie urocze noce, spędzone przy jej boku.

Moja znajoma umilkła.

. . . .

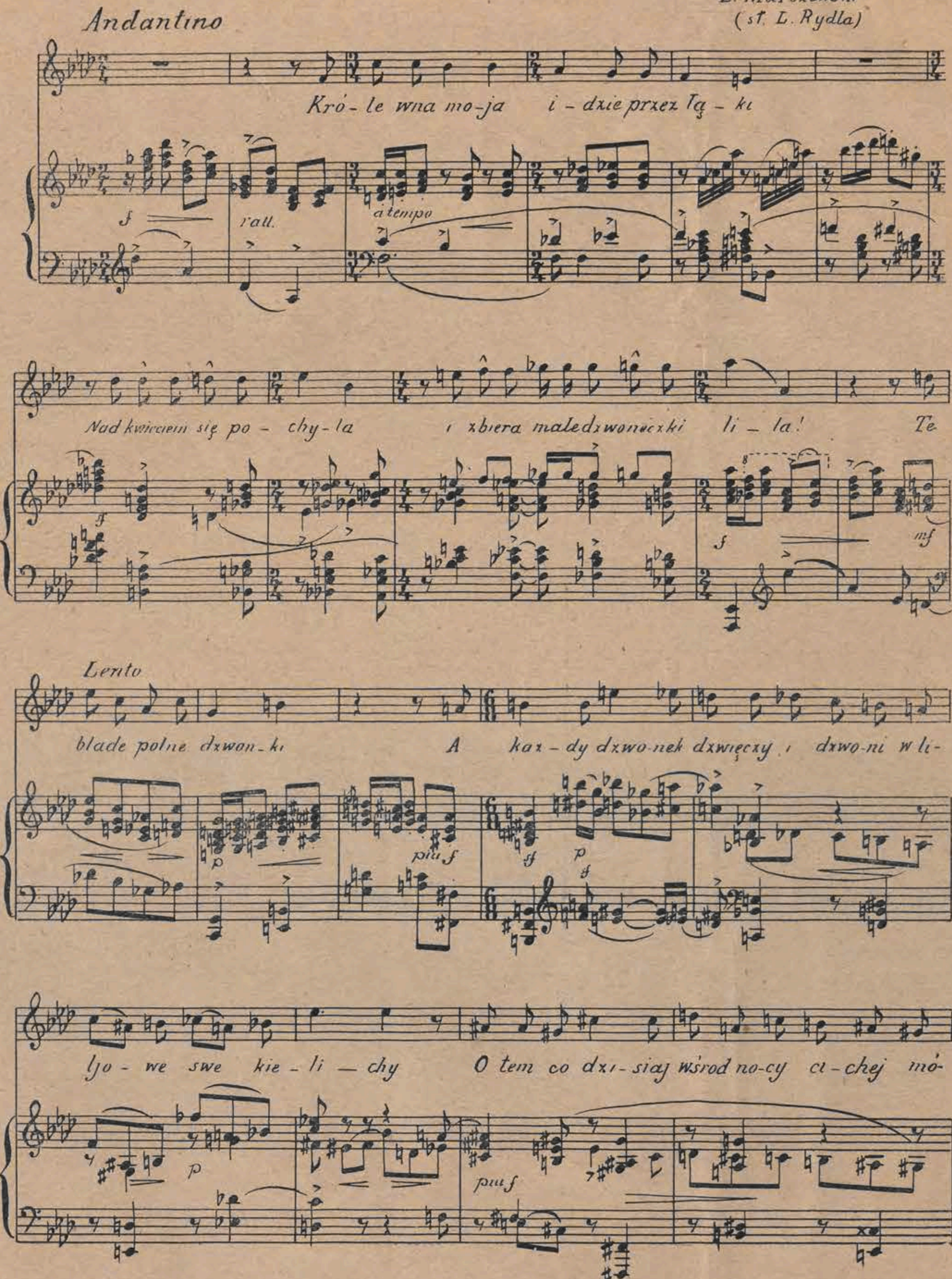
Tą znajomą byłam ja.

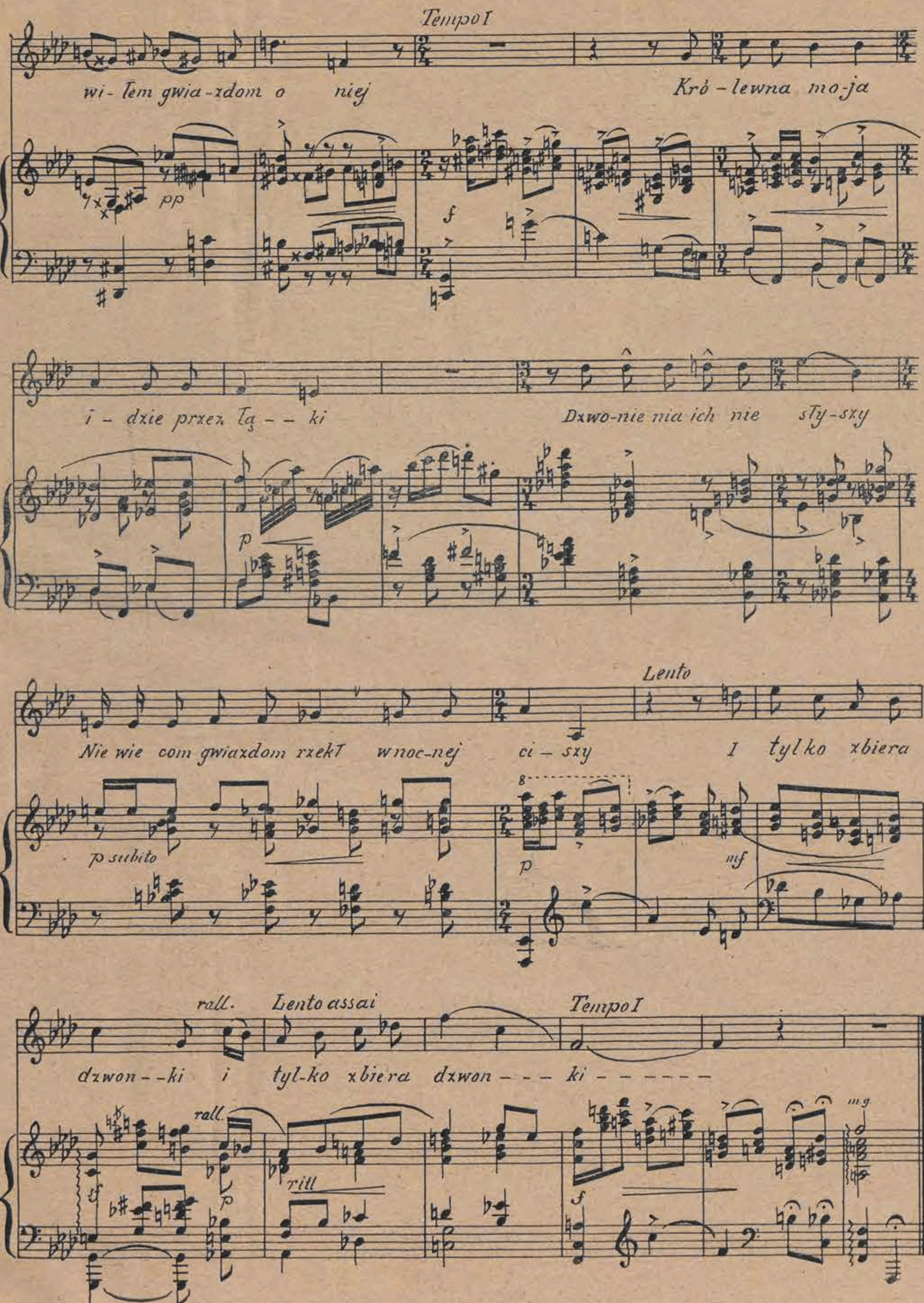
MAGDALENA SAMOZWANIEC



Moja Królewna

L. Marczewski
(sł. L. Rydla)




Tempo I
wi- łem gwia-zdom o niej
Kró-lewna mo-ja
pp
f
i - dzie przez łą - - ki
Dzwo-nie-nia ich nie sły-szy
p
Lento
Nie wie com gwiazdom rzekł w noc-nej ci - szy
I tyl-ko zbiera
p subito
p
mf
rall.
Lento assai
Tempo I
dzwon - - ki i tyl-ko zbiera dzwon - - - ki - - - - - -
rall.
p
rill
f
m.g.

TUROŃ

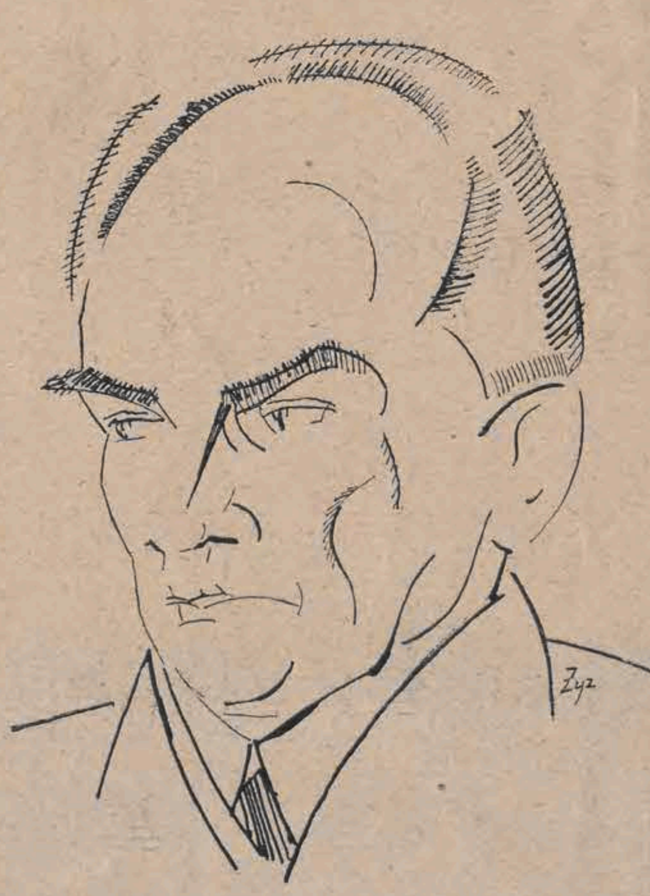
DRAMAT W 3 AKTACH STEFANA ŻEROMSKIEGO W REDUCIE

Żeromski zwiastuje życie, kiedy beznadzieja, rozpacz, szał zemsty i najboleśniejszy dla serca zawód — zdawało się — stoczyły już to serce docna i duszę przeżarły nawskroś. Z krwawych języków ognia niszczącego ręką mocarza podaje oczom djament bez skazy pokalania. Na czarnem niebie, kiedy w błyskawicowych rozbłyskach szaleje burza i dokonywa się groźba zniszczenia, Żeromski wyświetla oczom zamykającym się na śmierć najcudowniejszy skrawek błękitu. Między salwą gromową a ostatniem uderzeniem pioruna przeistacza mrok w światło. To światło jako wniosek akcji dramatu upięknia skutki, zarówno, jak i samo uderzenie ostatniego pioruna — rozwiązanie dramatu niezmiernie piękne i dostojeństwem odpowiadające całości pomyślenia sztuki. Turoń — symbol, „...przypomnienie i wyobrażenie pradawnych walk i borykań się naszego ludu ze zwierzętami, z wygubionem już zwierzęciem, turem“.

Straszna noc krwawego roku 46-go.

Żadnej „ciszy przed burzą“, żadnego pogodnego zmierzchu przed mrokiem nocy, żadnej przyćmionej dla widza łaskawości. Od pierwszej chwili, od podniesienia kurtyny — groza osobliwego momentu życia.

Noc, wichura, zadymka. Koleiny drogi na Tarnów, szlak — po którym ma pędzić cudne szaleństwo powstańców polskich: Rafała Olbromskiego, Krzysztofa Cedry i ich synów — zawiany, zmylony. Nic że to przecież, przeszkoda żadna dla serc wolą poświęcenia nabrzmiałych i miłosierdzia i braterstwa pełnych. W drogę. Któż ją zagrodzi? Jaka siła murem ślepym stanie wpoprzek? Nic i nikt, chyba swój. W próg dworu Krzysztofa Cedry w zimową noc wali piorun. Wpoprzek, ślepym murem na drodza ofiarnego czynu dla swoich staje s w ó j. — Szela. Zbir i łotr Szela — narzędzie w rękach Austrji, Szela, mniemający o sobie, iż jest sędzią; mieczem krzywdy mszczącym odbija upartą, opętańczą żądzę krwi od serca już przepadłego prawdę serdeczną i sprawiedliwą Huberta Olbromskiego. Szela mówi: „Żebym z was wytoczył wszystką krew, żeby się



ona bruzdami i rowami dróg lała, jeszcze by ta krew nie zmazała waszej winy, a naszej krzywdy. Jam jest za wszystkie wieki waszych zbrodni kara“!

W znaku z zębcami i dzwonkiem w Turoniu rozsiadła się podłość i nikczemność wszystkich zwierząt zwalczonych i wymordowanych. Turoń-Szela, a za nim cały lud wiejski, w którego sercu niemasz nic prócz podłości. Cham stał się duszą i treścią chłopa.

To jest właściwem rusztowaniem dramatu. Niema w owem rusztowaniu nic zbędnego, wszystko jest przemyślane i obmyślone z matematyczną niemal ścisłością. Mimo ogólne zblazowanie, mimo zanieczyszczenie naszej wrażliwości i zgnębienie naszej zdolności wzruszeniowej efektami najpodlejszego gatunku, wszelakiemi sztuczydłami smutnemi, kiedy mają być wesołe, i wesołemi, kiedy miały być piekielnie smutne, ba nawet tragiczne — dramat Żeromskiego bije w nasze serca współczesne głosem bliskim i mową dla ucha narodu dziś stającego się niezmiernie zrozumiałą i jasną.

Rozpętawszy wszystkie moce żywiołowe, Żeromski obnaża nagle z nieprzeniknionego mroku gwiazdę zwiastowania. Wskazuje ją na niebie, które zdało, się, że już przepadło.

Sługa Szeli — Chudy — dojrzał sercem swojem prawdę serca wszystkich.

Jest już czas ku rankowi strasznej nocy krwawego roku.

Drogą na Tarnów przebrani za turonia jadą: Hubert Olbromski i chłop Chudy.

Jadą do powstania!

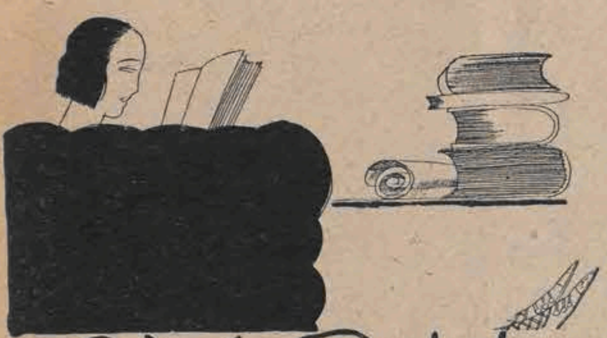
Turonia treść symboliczna odmienia się całkiem, bo oto chłop polski pokonał chama w samym sobie. Pokonał w sobie zwierzę!

Po tej jasności cudownej, tęczowej, Żeromski zsyła na ziemię ostatni piorun, który uderza w serce ofiary dobrowolnie zaległej na stopniach ołtarza. Jest nią syn Krzysztofa Cedry — Ksawery — postać narysowana w dramacie linją przecudownie miękką i jednocześnie niesłychanie mowną.

Reduta z Osterwą—reżyserem, Jaraczem — Szelą i Porębą — Staszkiem Szelą na czele zrobiła wszystko, by dzieło genjalnego pisarza podźwignąć. Dekoracja sceny się nie udała.

J. ŻYZNOWSKI

BALLADY IMION



SYBIL

W bibljotece mroczna chwila,
Cisza poobiedniej sjesty,
Dzisiaj czyta miss Sybila
Stare, zżółkłe palimpsesty.

Cała piękność jej motyla
Zanurzona w żółte księgi.
Lampa, lśniąc w zielone kręgi,
W aureolę włos rozpyla.

Dzisiaj czyta miss Sybila.
Wczoraj grała w parku starym
W kryket z pięknym sir Edgarem

Dziś zapomnieć się wysila:
W ciszy poobiedniej sjesty
Czyta stare palimpsesty.



amalja

Liścik wonny sztychuje Amalja
Do kochanka. Aktorem jest drammy
Historycznej. Gdzieś harfy brzmią gamy.
W porcelanie rozkwita azalja.

Może list już nie znajdzie kochanka?
Już się może odbyła batalja.
Koronkowy śle liścik Amalja.
Czekolady stygnie filiżanka.

Tonie w puchu głębokiej berżerki.
Może chłopak ucieszy się z wieści?
Kwiatów tiul zdobi fond etażerki...

Gdzieś akordy zamarły harfiane...
Może struny zajękły zerwane?
Może kwiat zasuszony szeleści?



ATAMARA

Pod mego zamku okiennice
Ciągną rycerze, królewice,
Pod oknem piosnką brzmi gitara,
Czekam, królowa Atamara.

Znajduję szczęście co wieczora,
Co rana wstaję smutkiem chora.
Do okna woła tęskność stara,
Czekam, królowa Atamara.

I znów pod zamku mego wieże,
Ciągną królowie i rycerze.
Co wieczór kryje raj kotara.

Co rana krwawy ślad do rzeki.
Czy przyjdziesz kiedy z niej — daleki?
Czekam, królowa Atamara.

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ (Rys. T. Gronowski)

SŁOWO O DE CUREL'U

Gdy spotykamy na swojej drodze nieubłaganą konieczność, która nam grozi zgubą, wówczas, ku obronie, zachodzi w nas tak wielkie napięcie sił duchowych, że można je porównać do namiętności. Im mocniejszy jest bohater tragedji, tem potężniejsza jest jego daremna walka z koniecznością. Daremna, bo ta walka zawsze się kończy przegraną bohatera. Konieczność zawsze zwycięża. Dlatego właśnie, że jest koniecznością. Gdyby mogła przegrać, nie byłaby koniecznością. Tedy, jak już powiedziałem, im potężniejszy człowiek spotyka się ze ścianą konieczności, tem potężniejsze napięcie wszystkich jego sił rzuca go na tę ścianę, i o tę ścianę rozbija. Z tego wynika, że konieczność tragiczna posiada pewną cechę, zazwyczaj przez analityków tragedji nie dostrzeganą, a ową cechą jest wywoływanie w bohaterze owego nadludzkiego napięcia sił, rozszalałego do żaru namiętności. Innemi słowy konieczność tragiczna wywołuje namiętność. Wywołuje w bohaterze sprzeciw, gwałtowny aż do namiętności. Dlatego tragedja w istocie swej jest zawsze sprawą wrzącą, choćby opowiadana była lodowatemi znakami, i choćby na jej widok scinała nam się krew w żyłach. Sytuacja rzetelnie tragiczna dlatego zawsze ma w zanadrzu ogień, że w bohaterze budzi namiętność zatriumfowania nad koniecznością. Konieczność przez samo pojawienie się swoje krzesze ten ogień w krzemieniu bohaterskiej duszy ludzkiej. Zbyteczne są gorące słowa w ustach bohatera istotnie tragicznej sytuacji; nie potrzebuje on wydawać wielkich okrzyków, może mówić cicho, może mówić językiem człowieka dobrze wychowanego, językiem intelektualisty, — sytuacja sama i związane z nią decyzje bohatera powiedzą nam, w jak tropikalnym klimacie duchowym bohater się obraca.

Dramatopisarska twórczość wice-hrabiego de Curel'a tem się przedewszystkiem różni od takiej twórczości jego kolegów we Francji i gdzie indziej, że język de Curel'owych bohaterów wysila się na oschłość, na bezsentymentalną, powiedziałbym, rzeczowość



MARJA PRZYBYŁKO-POTOCKA

„ZIEMIA NIELUDZKA" TEATR POLSKI

Tea gown z białego crêpe satin przybrany białem futrem z pracowni „Lucyna"

w sprawie psychicznych procesów, jakie przechodzą jego *dramatis personae*. Przedewszystkiem ci bohaterowie prawie nigdy nie mówią o swoich uczuciach, a jeżeli mówią, to nigdy uczuciowo.

O najwznioślejszych, i najboleśniejszych, i najbardziej osobiście obchodzących ich sprawach mówią, jak uczeni psychologowie, myśliciele, mówią jak inteligentni finansiści o operacjach finansowych, tragiczną sytuację, w jakiej się znajdują, omawiają ze spokojem wyrafinowanych wielkich aferzystów, subtelnie i jasno. Dlatego nieraz powiedziano o utworach de Curel'a, że są zimną zabawką intelektualisty, ale że nie są dramatami. W ścisłych i subtelnych relacjach językowych jego bohaterów nie umiano się dopatrzeć bicia serca, gdy nieraz to serce nie bije tam, ale wali! Jeno de Curel wstydzi się okrzyków, pojęków, szlochów; okrzyk, czy płacz tłumaczy na mowę myśli, dlatego tak mało łez jest w jego dramatach, a tak dużo myśli. Bohaterowie utworów de Curel'a zachowują w stosunku do wypadków, których są aktorami, w stosunku do postanowień, jakich te wypadki wymagają i jakie są istotnie przedsiębrane, zachowują — możnaby rzec — naukowy objektywizm. Każde zdanie, wypowiedziane przez osoby działające dramatów, albo raczej tragedyj, autora „Tańca przed zwierciadłem", jest jedynie podkreśleniem (dalekiem od czułostkowości, nawet od czułości) podkreśleniem oschłym tragicznego spotkania z koniecznością. Geometryczna figura tragedji, w którą dany człowiek dostał się jak w potrzask, i z której niema wyjścia bez katastrofy (a katastrofa nie jest przecież wyjściem), odrysowana bywa w de Curel'owskich dramatach przez powyżej wspomniane zimne zdania drobiazgowo, subtelnie i wyraźnie. De Curel ani przez jedną chwilę nie zamierza nas roztkliwić, nie chce nas wzruszyć losem swoich bohaterów, nie dobija się o sympatję dla nich; on pragnie jedynie wprawić nas w podziw na widok tej wzniosłości, jaką stanowi człowiek, postępujący niezłomnie według zimnych dyrektyw swej arcyprzytomnej woli w sytuacji gorącej do nieprzytomności, oko w oko z śmiercią, i z czemś od śmierci straszniejszem. W „Ziemi nieludzkiej" syn

godzi się na rozstrzelanie kochanej matki przez wroga, aby sam mógł ocaleć dla wypełnienia poruczonej mu misji wojskowej.

Mam opowiedzieć bajkę tego pięknego dramatu, przedziwnie zagranego w Teatrze Polskim dyr. Szyfmana przez p. Przybyłko-Potocką i p. Junoszę-Stępowskiego? A więc w kilku słowach.

Rzecz dzieje się za frontem niemieckim, na tyłach armji niemieckiej w Alzacji, podczas wojny europejskiej. Aż tutaj przybywa pewnego wieczora na spotkanie z mężem, dowodzącym dywizją, księżniczka cesarskiego domu, młoda, ładna kobieta, i otrzymuje kwaterę w pewnym odosobnionym domku chłopskim na polanie śród lasu. Czy mąż zechce skorzystać z tej niespodziewanie naznaczonej mu schadzki, niewiadomo, ponieważ jest rygorystą i swoim oficerom nie pozwala na takie odwiedziny stęsknionych małżonek.

Tego samego dnia w południe francuski aeroplan opuścił się w wymienionych dopiero co okolicach i wysadził pasażera, za którym niemcy urządzili natychmiast pościg, lecz bezskutecznie. Ten pasażer jest synem chłopki, u której zamieszkała właśnie księżniczka niemiecka. Służy jako lotnik-wywiadowca, a teraz przybył zabrać wykradzione przez alzata, żołnierza niemieckiego, papiery sztabowe. Z zawodu jest adwokatem i trochę literatem.

Gdy zapadły wieczorne ciemności, syn, (imię, o ile się nie mylę, nosi Wiktor) wchodzi przez okno do mieszkania matki. Oczywiście, spotyka się z księżniczką, która odrazu poznaje w nim syna swej gospodyni, ponieważ przed kwadransem obydwie kobiety oglądały jego fotografję.

Jutro rano przybędzie do księżniczki albo jej mąż, albo ktoś z jego polecenia, nie ulega więc wątpliwości, że księżniczka wyda szpiega, z którym niechcący zawarła znajomość. Więc księżniczka musi zginąć. Ale jeżeli zginie w domu, za jej śmierć odpowie właścicielka domu. Trzeba wyprowadzić księżniczkę poza dom. A jeżeli wyjść po nocy nie zechce?

Wiktor dopiero jutro w południe otrzyma wiadome papiery i dopiero o godzinie piątej nad wieczorem wsiądzie na aeroplan. Księżniczka musi zginąć, bo misja wojskowa, powierzona Wiktorowi, musi być spełniona. Ale jeżeli zginie księżniczka, zginą następnie dwie samotne kobiety, zamieszkujące domek, chłopka i jej siostra.

Matka Wiktora wysyła siostrę pod jakimś pretekstem do sąsiedniej wioski na dwa dni, a sama... rozumie, co ją czeka. Wiktor musi być ocalony za wszelką cenę, jako jej syn i jako jeden z tych, na których liczy Francja.

Ponieważ księżniczka kazała sobie podać wieczerzę w swoim pokoju na piętrze, więc Wiktor puka i, wszedłszy, proponuje damie małą przechadzkę do lasu. Ale księżniczka odmawia. I oto rozpoczyna się pełna subtelnej perfidji gra o życie na bardzo złożonem tle psychologicznem, bo młodzi ludzie podobają się sobie nawzajem i ciągną ku sobie erotycznie, i oboje są patrjotami, więc nawzajem życzą sobie najgorzej, i oboje wzajemnie boją się siebie. Ten przedziwny pod względem duszoznawstwa pojedynek, de Curel i pod względem dramatycznym przeprowadził po mistrzowsku. Wszystko co powiedziałem wyżej o języku de Curel'a, stosuje się i do tego djalogu: Eros przemawia tu mową filozoficzną, strach używa zwrotów naukowych, uczucia wykładają się w formułach myślicielskich, a przecież tok djalogu zawiera w sobie głuchy huk burzy.

Pojedynek kończy się w trzecim akcie zabiciem księżniczki. Wiktor ucieka, jego stara matka czeka na rozstrzelanie.

„Ziemia nieludzka" nie jest sztuką dla gawiedzi. Nie chce się podobać, chce jedynie odsłonić głębie procesu psychicznego ludzi nowoczesnych wyśmienitego gatunku, rzuconych w tragiczny konflikt. Z teatralnego punktu widzenia może ten brak kokieteryjności stanowi wadę „Ziemi nieludzkiej", z drugiej przecież strony zachwycająca jest ta surowa prostota architektoniczna de Curel'owego dzieła, a powściągliwość autora w zakresie efektu scenicznego jest również pięknym efektem dla tych, którzy potrafią go ocenić. Autor wstydzi się zdobywać nas sobie wymową retoryczną, gestami sentymentalnemi; uważałby to za brak dobrego wychowania, za sposób bycia w złym smaku, za nierasowość, za niegrzeczne traktowanie spektatora, gdy się doń doskakuje z hałasem i wybałuszonemi oczyma, mówiąc o przerażeniu, zamiast podzielić się z nim *pojęciem* danego przerażenia.

W Teatrze Polskim ta arcytrudna sztuka znalazła znakomitych interpretatorów. Że p. Przybyłko-Potocka jest wielką aktorką, o tem wiemy; rzadko jednakże zdarza się jej potężnemu talentowi napotkać tak godną jego wielkości sposobność do roztoczenia wielorakich jego blasków. P. Junosza-Stępowski jako Wiktor jest świetny, a w niektórych momentach niedościgły.

P. Frycz nietylko dał dekoracyjne wnętrze „Ziemi nieludzkiej", ale i zbudował ją wybornie po reżysersku.

WACŁAW GRUBIŃSKI



OBRAZKI ZAKAZANE

(W ORYGINALE ŁACIŃSKIM)

„Zbrodnią brzemienne czasy najpierwej skażeniem
Małżeństwa, domy i rodziny podkopały;
Z tego zaś środka zło się rozlało strumieniem,
Pogrążając w swej toni kraj i naród cały" [1])

Bo też to okres, w którym „Wenus rządzi w mieście swego Eneasza", w wiecznym Rzymie, jak mówi Owidjusz. No, a jak Wenus rządzi, to możemy sobie wyobrazić, co z takich rządów wynika. Cnotliwą jest oczywiście tylko ta niewiasta, której nikt nigdy nie zdobywał.

„Już oddawna zaczepiam po mieście dziewczęta z myślą, czy też która mi nie odmówi — żadna nie odmawia. Tak jakby to hańbą było, rzeczą niegodną, jakby to nie wypadało odmówić! Więc wszystkie są bez wstydu? Ale gdzież tam — wstydliwych tysiące. A one jak hołdy przyjmują? Nie mówią „nie", ale nie wymawiają nigdy słowa „tak" [2]).

Gdy więc takiemi były panie rzymskie, chciałbym zwrócić uwagę, kto się cieszył szczególnem u nich powodzeniem.

W każdym razie i to stanowczo trzeba podkreślić, tym szczęśliwcem nie był mąż.

Seneka twierdzi, że niektóre panie nie liczą lat wedle konsulów, ale według mężów; a inny złośliwy (Juvenalis) mówi, iż bywają wypadki — ośmiu małżonków w ciągu pięciu jesieni. Moralność małżeńską podkopują maskarady. Przepraszam, zapomniałem przecież, że piszę o czasach dzisiejszych i o dzisiejszych paniach, więc nie maskarady, lecz widowiska.

Jak skrzętna pszczółka (słowa Owidjusza) zbiera tam Rzymianka hołdy i spojrzenia pełne namiętności; tłumy młodych Adonisów czyhają tutaj na nią, proszę mi wierzyć, Bogu ducha winną! Prześcigają się w usługach (znów oszczerstwo Owidjusza), a stąd płyną znajomości i rozmowy i spacery w pełnych mroku zakamarkach cyrku lub teatru.

A jest tu jeszcze jedno niebezpieczeństwo dla twierdzy serca niewieściego; wszelkiego rodzaju artyści — to słaba strona Rzymianki. „Żenisz się — bacz by dzięki Niej nie został ojcem Echion lub Glaphyrus, który gra na cytrze" [3]).

Gdy można pozyskać gladjatora, — wówczas rzymska dama na nic nie zważa. Nawet uciążliwa podróż ani choroba morska nie odstraszyłaby jej.

Ale największem powodzeniem cieszą się mistrzowie baletu. „Owa niemiła dla tłumu szkoła Pythagorasa nie znajduje kierownika; owa nowa grupka Sextiusów, mająca na celu wznowić siłę ducha rzymskiego, choć z zapałem poczęła działać, w samych zaczątkach wygasła.

Z jak wielką natomiast troską podejmuje się starania, by nie zaginęło imię jakiegoś baletnika! Pylades i Bathyllus [4]) mają następców w swym fachu; wielu jest uczniów i doktorów tego kunsztu; we wszystkich domach prywatnych salony rozbrzmiewają dźwiękami tańca, w salonach tych zaś tańczą mężczyźni i kobiety, mężowie i żony, współzawodnicząc w tem, kto wdzięczniej figurę przechyli" [5]).

Takie oto piękne i żywe obrazki znajdujemy w literaturze łacińskiej.

A więc, czytelnicy, nie odrzucajcie ksiąg rzymskich autorów.

Celuje w kreśleniu takich obrazków Owidjusz, ale on jest dzisiaj skompromitowany, bo dzięki przekładom Rościszewskiego i Ejsmonda, wszystkie mamy i ciocie już się na tym ptaszku poznały. Dawniej, gdy młode dziewczątko, (uczenica dajmy na to klasy 6-ej), mówiło w domu: „Wychodzę; nie rozumiem tego przeklętego Owidjusza; muszę znaleźć klucz do niego!" — mamusia wzdychała, ale dawała pieniądze.

Lecz dziś, pełna przerażenia, z wypiekami na twarzy, woła: „Po klucz do zrozumienia Owidjusza?! poczekaj jeszcze parę lat, córeczko!"

Niemniej jednak wiele takich perełek spoczywa jeszcze w ukryciu oryginału łacińskiego, a więc może i warto sięgnąć po klucz sezamowy do nich, t. j. zdobyć wiedzę klasyczną.

Droga to długa i uciążliwa — jeśli więc Sz. Redakcja nie odmówi mi gościny — postaram się w szeregu drobnych szkiców skreślić obyczaje starożytnych kobiet.

ZDZISŁAW KONOPKA

[1]) Horatius — Cazmina III 6. 16 — 20 (tłumaczenie Zawirowskiego).
[2]) Martialis, VI — 71.
[3]) Juvenalis, VI — 78 do 113.
[4]) Znakomici baletmistrze.
[5]) Seneka. Natural. Quacstiones VII. 32, 2 i 3.





Moja dłoga, czy ty już jesteś ubłana na łaut, czy dopieło się łozbiełasz...

Rys. St. Rzecki



SUBJEKTYWIZM W SZTUCE

(Z CYKLU: PANI LALA)



Ktoś puka. Posłaniec. Kwiaty. List.

„Szalenie mi zależy, by być dzisiaj w Polskim na „Samumie". Naturalnie loża. Pan zawsze jest bardzo miły i może dostać kartkę. Niema to jak być literatem wobec czego dziękuję zgóry.

Zawsze ta sama

Lala".

Czuję zażenowanie, bo w Polskim dziś właśnie grają „To co najważniejsze" (naco już dwukrotnie zamożni znajomi zdobyli przeze mnie kartki), równocześnie zaś nie mam drobnych tysięcy. Z westchnieniem daję posłańcowi dziesięciotysiączkę (zresztą, — za takie róże!...). Posłaniec milcząc chowa napiwek, milcząc zabiera kwiaty i milcząc wychodzi.

— Ojczulku! a ten... rododendron?...

— Bagaż z jenszego kursu. Adje panu.

Melancholijnie telefonuję do pani Lali. Po kilku zaledwie mylnych połączeniach (wyższy zaklad położniczy... halloo! przi aparatu fyrma „Gicele"... tu niema żadnej pani Lali, jest panna Dysia, ale też wyszła... „Polmet"... „Polblag"... „Depol"... „Gulpetopol"... wreszcie: „Polus"... i „Polluks" — Kastora nie było!) słyszę nakoniec srebrny z domieszką kryształu głos pani Lali.

— Pan, panie Kaziu? Jak to ładnie...

— Dziękuję za piękne róże. Przyjemnie mi było chociaż przez chwilę.

— Róże? Nic nie rozumiem. Papier listowy perfumuję jaśminem.

— A więc nieporozumienie. Jestem do usług.

— Naturalnie wybierze się pan dziś ze mną?

— Ale chyba na „To co najważniejsze".

— Tylko bez dwuznaczników! Proszę o lożę dziś na „Samum".

— Kiedy idzie Jewreinow.

— To niech mu pan powie, jak przyjdzie, żeby usiadł i poczekał, dopóki nie skończymy rozmawiać. I wogóle, co pan ma za dziwne znajomości?

— Snobizm literacki, łaskawa pani. Bo właśnie dziś wieczorem, niestety...



— Bez wykrętów. Zabieram pana dziś na „Samum", a pan Jewreinow niech sobie poszuka innego towarzystwa. Nic nie chcę słyszeć! Przychodzę do pana w towarzystwie. Chyba nie zechce mnie pan skompromitować, bom na dzisiejszy „Samum" obiecała lożę pani Muni jako rewanż za onegdajszą wycieczkę do Wilanowa ministerjalnym samochodem pana Zbigniewa. Przyznałam się panu do wszystkiego jak na spowiedzi. Więc?...

— Postaram się, ale...

— Żadnych „ale!" Za kwadrans dzwonię o numer loży.

— A jeżeli, broń Boże, nie dadzą?

— Panu?!! To pocóż pan jest literatem? Któż ma większe prawo do miejsc w teatrze?

— Publiczność kupująca bilety.

— Chciał pan powiedzieć: paskarze! Ja, mój panie, paskarką nie jestem i dziwię się, jak pan może mnie tak obrażać!

— Zupełnie słusznie. Przepraszam. Dzwonię o kartkę.

O, dziwo! Łączą mnie z Polskim odrazu, i — o, dziwo! nie odmawiają kartki (ci ludzie pójdą prosto do nieba za swe wielkie zasługi wobec literatury).

W tejże sekundzie — telefon od pani Lali.

— Co to znaczy? Dodzwonić się do pana niepodobna. Od kwadransa ciągle zajęte. Z kim pan tak romansuje. Jestem zazdrosna. Jakże „Samum?"

— Loża numer czwarty założona w kasie, ale zdaje się grają co innego.

— Panu zawsze coś się zdaje.

— Z pewnością.

— Wiem lepiej. Patrzałam w „Kurjerze". Zresztą dziękuję i strasznie się cieszę, bom już dawno nie widziała Przybyłko i Brydzińskiego, — a pan?

— Brydzińskiego widziałem przed godziną. Mieszkamy w tymże domu.

— Jaki pan szczęśliwy! Do widzenia i proszę go ucałować ode mnie.

— Do widzenia, ale wolałbym odwrotnie: ucałować panią od niego.

Ponieważ jestem pewny, że dziś grają „To co najważniejsze", i ponieważ jestem jeszcze pewniejszy, że pani Lala, byleby tylko była szansa na kartkę, trafi za nią do bieguna północnego, — chcąc uniknąć pierwszego impetu wymówek, zawijam do loży podczas drugiej odsłony.

Sytuacja jak gdyby pogodna. Na scenie — gwarna parodja z „Quo vadis", w loży — jeszcze gwarniejszy djalog pani Lali z panią Munią. Zresztą są jacyś dwaj dżentelmeni, z których jeden w nieposzlakowanym smokingu konsumuje systematycznie z ogromnego pudła czekoladki, z flegmą studjując widownię, drugi w nieskazitelnym pstrym sportowym garniturze matematycznie dzieli swój zachwyt pomiędzy scenę i karczkowy dekoltaż pani Muni. „Rezygnacja pogodzenia się z losem", dodaję sobie animuszu w najciemniejszym kątku loży. Pod koniec jednak aktu pani Lala, obróciwszy się do pudła z czekoladkami, zauważyła mnie i powitała pobłażliwym uśmiechem.

— Kto miał rację, panie Kaziu? Widzi pan: grają „Samum!"

— Sądzi pani?

— Naturalnie. Przecież czytałam, że rzecz dzieje się w Afryce. I proszę tylko spojrzeć: wschodni taniec, egzotyczne kostjumy... zgadza się?

Zrobiło mi się nieswojo. Na szczęście zakończono akt i towarzystwo w ożywionej pogawędce przeszło do gabineciku około loży. Zresztą obaj dżentelmeni zdawali się zupełnie mnie nie dostrzegać.

— Panowie pozwolą, że ich poznam, — rzekła pani Lala z wdziękiem urodzonej pani domu. — Nasz literat, — dodała wskazując obu panom na mnie. Shakehand. Trzy chrząknięcia nazwiskami. Mała pauza.

— W gazetach było,—zauważył mimochodem dżentelmen w smokingu,—że literaci zarabiacie teraz bardzo mało.

— Niedalej jak przed miesiącem, — odparłem z godnością — jeden z moich kolegów po piórze kupił w Alejach mieszkanie za dwieście miljonów i to nawet nie dla siebie, tylko dla znajomego, drugi zaś kolega literat stracił onegdaj pół miljarda, gdyż nie kupił w swoim czasie kilku tysięcy akcyj żyrardowskich.

— Trza mu było grać na dolary, — z współczuciem zauważył dżentelmen ubrany sportowo.

— My gramy na złotych lirach.

— Włoskich?

— Apollinowych.

— Ki djabeł, nowe dewizy?!—zaniepokoił się smoking.

— Mogliby panowie, — wtrąciła pani Munia, — przestać mówić o interesach przy damach. Pić mi się chce.

Wyszliśmy na foyer do bufetu.

— Cóż to za paskarze? — zainterpelowałem półgłosem panią Lalę.

— Po pierwsze, nie paskarze, — zgromiła mnie, — tylko znajomi pani Muni, a po drugie, bardzo sympatyczni nuworysze. Jak pan mało zna ludzi. Proszę się poprawić.

Poprzysiągłem sobie w duchu starannie odtąd odróżniać paskarzy od nuworyszów.

— Która ze sztuk bardziej się panu podoba, — pytała tymczasem z czarującym uśmiechem pani Lala nuworysza w smokingu, — „Samum" czy „Hamlet?"

Smoking namyślał się akurat tyle czasu, ile wymagało równoczesne zżucie dwóch czekoladowych bomb, poczem odrzekł.

— Dobra sztuka to jest „Bajadera", a na „Hamlecie" nie byłem. Czasu się nie ma.

— Mojem zdaniem, — zaopinjowała pani Munia, — z Polskiego Teatru najlepszy jest Mały. Zawsze można się tam doskonale ubawić i zawsze są na scenie nowe mody, — nieprawdaż?

— Z nowych mód to były ładne w zeszłym roku dekolty, — ożywił się garnitur sportowy. — A jednemu urzędnikowi na maskaradzie to się z tego udał pierwszoklaśny kawał: „ja — powiada — żebym miał w moim ministerstwie takie plecy jak ta maska, tobym już dawno był starszym referentem!" — jak Boga kocham, tak powiedział! A drugi kawał był jeszcze lepszy, ale to już dla niekuriaszczych...

— Możebyśmy jednak poszli posłuchać sztuki, — przerwała pani Lala, wchodząc do gabineciku przy loży.

— Oni tam dadzą radę bez nas,—uspokoił ją smoking,— lepiej niech panie się namyślą, gdzie pojedziemy zjeść kolację. Mój samochód czeka na dole z założonemi rękami.

Na ożywionej dyskusji kulinarnej zeszedł towarzystwu akt trzeci włącznie z antraktem. Debaty wykazały jak na dłoni, że właściwie niema w całem stołecznem mieście Warszawie żadnego porządnego lokalu restauracyjnego, gdzieby można było zjeść jako tako i gdzieby człowiek nie był narażony na sąsiedztwo nieodpowiedniej sosjety. Wreszcie poświęcono się z rezygnacją na gabinet w Angielskim („ale koniecznie z muzyką!"). A że zdaniem pań było jeszcze dość wcześnie, przeszliśmy w połowie ostatniego aktu do loży, by zachwycić się „Samumem".

— Ah! jakie cudowne afrykańskie dekoracje! — z emfazą zawołała pani Lala, patrząc na maskaradowe przyozdobienie rosyjskiego pensjonatu lampjonami, girlandami i chorągiewkami.

— Istotnie, tylko na Saharze mogą ludzie tak barwnie mieszkać, — zgodziła się pani Munia, — szczęśliwi!...

— A taki w tej Afryce doją ludzie wódę kubek w kubek jak u nas, — ożywił się smoking.

— Co znaczy cywilizacja wszechświatowo-europejska, — poparł go garnitur sportowy.

— A Brydzińskiego dotąd nie było? — spojrzała na mnie z wyrzutem pani Lala.

— Był, ale już wyszedł, — uspokoiłem ją.

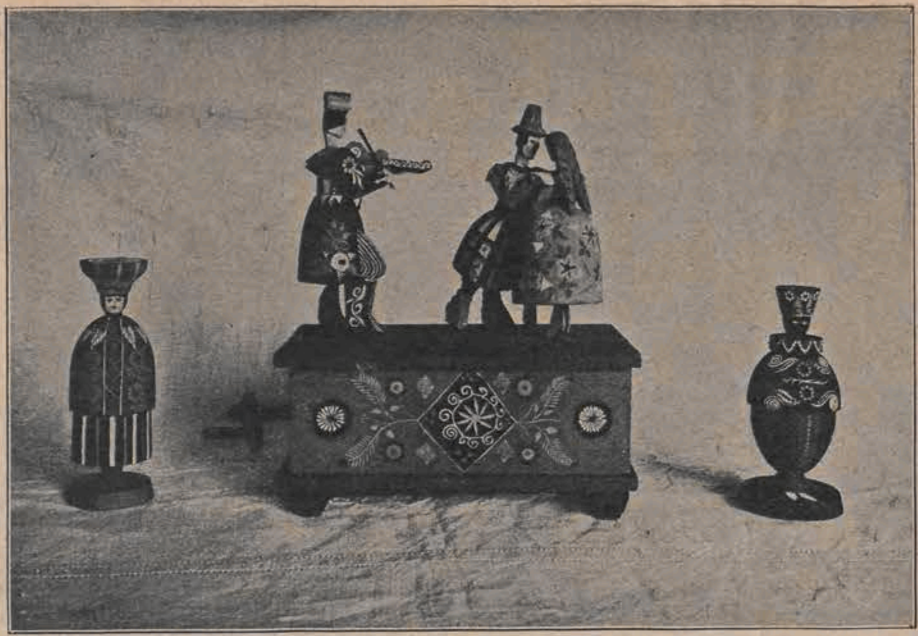
— To i my wyjdźmy do kompletu, — zadecydował smoking.

Z trzaskiem odsuwanych krzeseł, sykaniem sąsiadów i łoskotem wywróconego na ziemię pudła ze szczątkami czekoladek, opuściliśmy gościnną lożę.

— Bardzo interesująca sztuka ten „Samum", taka wykwintna... oryginalna... prawdziwie francuska!... — zsumowała swe artystyczne wrażenia pani Lala, wsiadając do samochodu z panią Munią i dżentelmenami, — dziękuję panu, panie Kaziu, bardzo... bardzo!... i do miłego zobaczenia się. A na przyszły raz, — dodała, wychylając się z odjeżdżającego Deimlera, — poproszę pana o kartkę na „To co najważniejsze" — dobrze?...

KAZIMIERZ WROCZYŃSKI





Zabawki z pracowni J. Warchałowskiego z Krakowa

„Polska na Wystawie Międzynarodowej w Monzy"

W maju bieżącego roku zostanie otwarta po raz pierwszy w gmachu pałacu królewskiego w Monzy pod Medjolanem międzynarodowa wystawa sztuki dekoracyjnej. Wystawa ta, która ma być następnie stale co dwa lata organizowna, będzie do pewnego stopnia uzupełnieniem również co dwa lata urządzanej międzynarodowej wystawy sztuki w Wenecji.

Polska, zaproszona w miesiącu lutym przez rząd włoski i komitet urządzający, dzięki pomocy materjalnej, udzielonej — na przewóz wystawy i wyjazd delegata — przez wydział prasowy ministerstwa spraw zagranicznych, weźmie w tej wystawie czynny udział.

Zbyt krótki przeciąg czasu, jaki dzielił termin zaproszenia od terminu koniecznej wysyłki przedmiotów, nie pozwolił naszemu oddziałowi wykazać wszelkich możliwości naszych w dziedzinie sztuki dekoracyjnej, niemniej, dzięki energji przewodniczącego komitetu p. Czesława Młodzianowskiego, zdołano zebrać dość znaczną ilość cennych przedmiotów, które bezwzględnie nawet w zestawieniu z narodami wysoko w dziedzinie sztuki dekoracyjnej zaawansowanemi wstydu nam nie przyniosą, a zwrócą niewątpliwie uwagę cudzoziemców swą oryginalnością.



Kilim podług projektu W. Jastrzębowskiego tkany w pracowni „Polski Kilim" w Warszawie

Charakter przeważnej części naszej wystawy polega na motywach dekoracyjnych zaczerpniętych z naszej sztuki ludowej, a wykonanych w różnych materjałach przez pracownie, pozostające pod kierunkiem wybitnych artystów. I dobrze się stało, że komitet organizujący urządził z tych przedmiotów, mogących być wysłanych do Monzy, próbną wystawę w lokalu Towarzystwa popierania przemysłu ludowego. Urządzenie tego pokazu dla artystów i osób zaintereso-



Ozdoby na drzewka podług projektów p. J. Mierzejewskiego

wanych pozwoliło komitetowi ściślejszemu przebrać przedmioty i wyeliminować wszystko to, co do zestrojenia pewnej całości się nie nadawało. W rezultacie tej pracy komitetu odrzucono wiele przedmiotów nawet dobrych ale nie harmonizujących z całością wystawy.

Najcelniejszym jakościowo i ilościowo objektem działu polskiego będą kilimy, pochodzące przeważnie z trzech najpoważniejszych pod względem artystycznym pracowni w kraju, a mianowicie „Kilimu" z Zakopanego, „Polskiego kilimu" z Warszawy i „Tarkosu" z Zakopanego. Wybrano kilimy tkane podług projektów artystów K. Brzozowskiego, J. Czajkowskiego, W. Jastrzębowskiego, Koseckiej, B. Tretera i E. Trojanowskiego.

Kilimy te, jako produkcja już dobrze zorganizowana, mogą wobec drożyzny dywanów wschodnich i brzydoty mechanicznie tkanych dywanów znaleźć zagranicą rynek zbytu.

Drugim najpoważniejszym co do ilości i rozmaitości działem są batiki wykonane w pracowniach: p. t. Buszka z Warszawy, p. Jezierskiej z Warszawy i p. J. Warchałowskiego z Krakowa. Batiki te, komponowane i wykonane przeważnie przez młode dziewczęta, zwrócą niewątpliwie na siebie uwagę oryginalnością kompozycji, harmonją kolorów, a fakt, że każdy z tych objektów jest unikatem, będzie niewątpliwie przynętą dla wytrawnych zbieraczy.

Dział ceramiczny, liczebnie niezbyt bogaty, zawierać będzie niewątpliwie wszystko, co najlepszego można było oglądać na niedawno zamkniętej wystawie ceramicznej w Tow. Zachęty Sztuk Pięknych. Więc przedewszystkiem wyroby pracowni



Naczynia metalowe kute wykonane w „Warsztatach Krakowskich"

Wojnickiego i Czechowskiego, Złotoglinu, Schreiberówny, Czarkowskiego i w. i.

Poza kilimami z tkanin dość bogato reprezentowany będzie dział haftów kolorowych na szarem płótnie, wykonanych przez dziewczęta z łowickiego. Należy tu podkreślić zasługi tow. popierania przemysłu ludowego, które tak szczęśliwie skierowało wrodzone zdobnicze zdolności łowickiego ludu, wypowiadane dotąd przeważnie w papierowych wystrzygankach do materjału trwałego i szlachetnego jakim jest haft na płótnie.

Wnętrze sali uzupełnione będzie meblami koszykowemi, wykonanemi podług projektu prof. Jastrzębowskiego w warsztatach Tow. popierania przemysłu ludowego.

Z przedmiotów drobniejszych na uwagę zasługują zabawki toczone w drzewie i malowane z pracowni p. J. Warchałowskiego z Krakowa, dalej niezwykle oryginalne w pomyśle artystyczne ozdoby na drzewko p. J. Mierzejewskiego, piękne naczynia, kute z blachy, wykonane w warsztatach krakowskich, hafty białe p. Mehofferowej z Krakowa wreszcie tacki i naczynia plecione z łyka z warsztatów Tow. popierania przemysłu ludowego.

Pewnego rodzaju atrakcją będzie w wystawie tej niewielki oddział wileński z przepięknemi płótnami lnianemi, uroczyście tkanemi, oryginalnemi „palmami" wileńskiemi, subtelnemi papierami do oklejania książek z pracowni p. B. Lenarta, wreszcie cykl znanych fotografij p. Bułhaka.

Dział projektów architektonicznych w czasie pokazu nie został jeszcze skomponowany dlatego trudno o nim mówić.

Reasumując to sprawozdanie musimy przyjść do przekonania, że wprawdzie wystawa ta nie odzwierciadli wszystkich naszych możliwości w dziedzinie sztuk plastycznych, niemniej niewątpliwie zwróci uwagę na oryginalność naszych motywów, które, zwłaszcza na tle innych kultur, dodatnio się wyróżnią.

Z wystawą jedzie do Monzy jako delegat prof. J. Czajkowski.

WŁADYSŁAW SKOCZYLAS



DUBOIS *KOMÓDKA*

wł. Zbiory wilanowskie



Rys. I. Pokrzywnicka

ZIELONY KARNAWAŁ

Suknia taftowa vert eucaliptus haftowana popielatem

Suknia drapowana z żółtej fulgurante przybrana czarnemi piórami

WIOSNA NA ULICY

„Gdy słońce Raka zagrzewa
A słowik więcej nie śpiewa" — (że użyję tu świętokradczo zdobnych słów Jana z Czarnolasu) — wówczas będzie już chyba za późno zastanawiać się nad suknią letnią.

Prawda, że zimna tegoroczna wiosna pozwala nam na opieszałość i zbyt długie namyślanie się nad wyborem letniego przyodziewku, ale — proszę zważyć, że to już maj, i któregoś ranka wejdzie lato na bruki miasta z całą bezwzględnością upałów.

Najwyższy więc już czas pomyśleć o sukni letniej!

A jest to chyba „najłatwiejsza" toaleta. Już same materjały: krepony, markizety, fulary, dzięki różnorodności barw i deseniów, ułatwiają znacznie wybór. Ponadto suknia letnia musi być niewymyślna w kroju i przedewszystkiem wygodna. Jednakże właśnie dlatego tu najdowodniej okazuje się poczucie estetyczne i tu właśnie potrzebna jest owa „wiedza tajemna" w przystosowaniu kroju do materjału.

Możnaby powiedzieć, że moda w lecie jest dopiero sztuką stosowaną, bo, kapryśna i apodyktyczna w karnawale, latem staje się praktyczna i wyrozumiała. Zwłaszcza tego roku. Zstąpiła bowiem do nas w obłokach fularu, tego najmilszego z jedwabiów, wiotkiego i sprężystego zarazem, chłodnego i przewiewnego. Modny więc jest fular granatowy, czarny, biały, orange, bronzowy, — malowany w girlandy, arabeski, rzuciki, kraty i pasy. A można fular marszczyć i plisować, upinać gładko lub zdobić w falbany, — zawsze przecież zwycięży lotność materjału, która nadaje każdej sylwetce niezrównaną harmonję ruchów.

Cudownie zdobi się suknie fularowe białą organdy, albo jedwabiem pod kolor deseniu, dużemi kokardami w pasku lub fantazyjnemi klamrami z wstążeczek. Byle niewiele tego a pomysłowo. Suknia fularowa ma przytem wielorakie zalety: można ją nosić rano na garden party, popołudniu na fajfie, niemniej dobra jest na deptaku i na plaży, nieoceniona jako suknia domowa i jako wygodna sukienka na letnisku.

Sukni zaś markizetowej czy kreponowej trudno nie polecić. Stała się ona wprost nieodzowna w lecie. Tego roku obok odwiecznej białej wskazane są przez modę i barwne o tonach pastelowych, przede-



a) Suknia z bronzowej charmeusy. Kołnierz i mankiety z walencienek farbowanych pod kolor sukni. b) Suknia z granatowej crêpe marocain w zakładki, spięta klamrą. Kołnierz przybrany falbankami z granatowej tafty. c) Suknia z popielatej wełny, bluzka i podbicie peleryny fular barwny w tureckie desenie.

wszystkiem żółte, różowe i rezedowe. Zdobi się je mocno barwnym haftem o motywach wschodnich lub folklorystycznych. Bardzo strojnie wygląda haft madeira, lecz chyba najlepiej odpowiada markizecie misterna mereżka.

W Paryżu widzi się w tym roku stylowe sukienki z organdy, dziergane grubą bawełną. Wygląda to świeżo i bardzo uroczo.

Do większego stroju poleca się crepy: georgette, maroquin, romain, chine. Może to być spódniczka z trwale umocowaną bluzką, zazwyczaj barwną i malowaną w fantazyjne wzory, a do tego pelerynka podbita wzorzystym materjałem bluzki.

Nowością niemniej praktyczną jest spódniczka z białej organdy w drobne falbanki, do której nosi się barwną fularowa bluzkę nisko na biodrach spiętą w dużą kokardę. Można mieć kilka takich bluzek w rozmaitych barwach, tem samem multum toalet.

Suknia letnia ma naprawdę w sobie coś z kwiatu i coś z lirycznego wiersza; jest w niej radość i sentyment zarazem; i jest w niej także lekkość nieobowiązującego flirtu sezonowego obok miłego wzruszenia, jakie sprawia list pachnący fiołkami, list mówiący o miłości prostotą niewymyślonych, nieśmiałych słów.

NINA



a) Suknia z białej organdy w falbany, wycinana w zęby, bardzo kolorowa aplikacja. b) Fularowa suknia rozszerzona kloszowo do dołu, koszulka z białej georgetty, przybranej valencienkami.



Spódnica w falbany z crèpe de chine'u popielatego, kubraczek z crèpe de chine'u czerwonego, haftowanego w duże desenie popielatym jedwabiem.



a) Fularowa suknia prosta z szerokim pasem i wyrzucanemi plecami. b) Granatowa z białem fularowa suknia, kieszenie i przybranie z białego crèpe de chine'u. Kołnierz koronkowy, który tworzy jednocześnie rękawy.

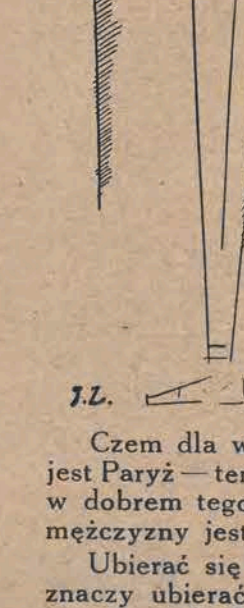


Trzy Sylwetki

PARYŻ — LONDYN — NEW-YORK

Czem dla wykwintnej kobiety jest Paryż — tem dla eleganckiego w dobrem tego słowa znaczeniu mężczyzny jest Londyn.

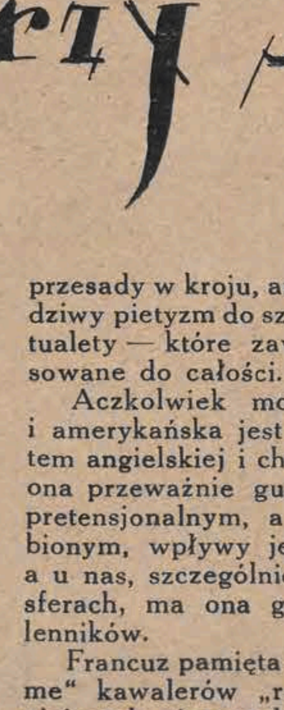
Ubierać się po angielsku — to znaczy ubierać się dobrze. Styl i urok mody londyńskiej polega na szlachetnej prostocie i bezpretensjonalności wymuskanej; starający się przyozdobić mężczyzna jest zawsze „schocking“ w pojęciu anglika i dlatego moda angielska zmienia się mało i dąży raczej do wygody niż do upiększania. Ubrania marynarkowe noszone są ciągle, cały dzień aż do wieczora. Krój ich dziś jest prosty, klapy dosyć wysoko umieszczone, jeden rząd guzików, stan niski, wcięcie minimalne. Spodnie dość wąskie i krótkie—Półbuciki wydłużone lecz bez szpiców. Unikając przesady w kroju, anglik ma prawdziwy pietyzm do szczegółów swej tualety — które zawsze są dopasowane do całości.



Aczkolwiek moda francuska i amerykańska jest tylko plagjatem angielskiej i choć odpowiada ona przeważnie gustom bardziej pretensjonalnym, a mniej wyrobionym, wpływy jej są znaczne, a u nas, szczególniej w pewnych sferach, ma ona gorących zwolenników.

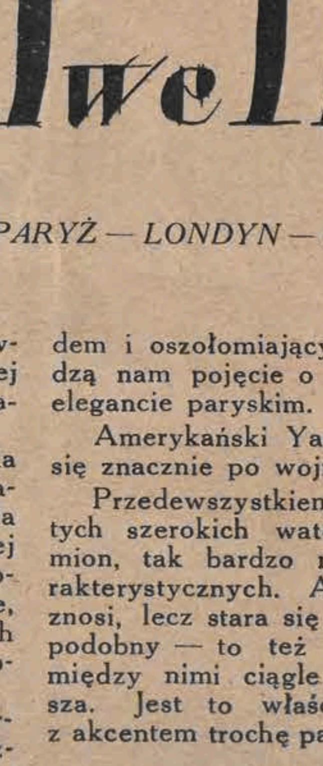
Francuz pamięta jeszcze „charme“ kawalerów „rococo“ i późniejszych „incroyable“ i nie może się powstrzymać od pewnej zalotności, excentryczności i fantazji w stroju dzisiejszym.

Poszerzone ramiona i piersi, wcięty i wysoki stan, ukośne i fantazyjne kieszenie, dosyć szerokie i bardzo krótkie spodnie, tysiące kokieteryjnych szczegółików, spiczaste lakierki i jedwabne skarpetki (nawet z rana) do tego kapelusz z szerokiem rondem i oszołomiający krawat, dadzą nam pojęcie o bulwarowym elegancie paryskim.



Amerykański Yankee zmienił się znacznie po wojnie.

Przedewszystkiem nie ma już tych szerokich watowanych ramion, tak bardzo niegdyś charakterystycznych. Anglików nie znosi, lecz stara się być do nich podobny — to też różnica pomiędzy nimi ciągle się zmniejsza. Jest to właściwie anglik z akcentem trochę parwenjuszowskim. Fasony ubrań amerykańskich uspokajają się. Typowe obecnie są b. wysokie na samych prawie ramionach położone klapy. Marynarki dość krótkie, spodnie wąskie i względnie dość długie, często bez mankietów. Uderza kolorowość i rozmaitość deseni koszul.



J. Z.

KREACJE FIRMY L. BOSZ

WARSZAWA, UL. WIERZBOWA Nr. 2.

Moda jest niczem innem jak tylko buntem przeciwko pospolitości i szarzyźnie życia.

Urodziła się w błękitnej mgle wieków odległych, gdy człowiek, poczuwszy swą osobowość, zapragnął, przez stwórcę ozdobiony świat, sobą jeszcze ozdobić; świat, a więc, żywą masę ludzkości.

Jest zatem moda zjawiskiem cywilizacyjnem.



Kapelusz czarny tiulowy, przybrany piórami rajskiego ptaka, uwydatnia subtelną urodę pani M.



Kapelusz z laize koloru bleu roi, przybrany piórami tegoż koloru z popielatym, doskonale harmonizuje z pełną wdzięku i wytworności postacią pani doktorowej E.

Moda jest twórczością, kieruje nią wiekuista tęsknota do piękna.

Samo życie postawiło modę w rzędzie sztuk stosowanych.

Zmuszeni do codziennego z ludźmi obcowania, modę wzywamy do wyrażenia nazewnątrz naszej kultury estetycznej i towarzyskiej.

Stosownie dobrany strój znakomicie wzmaga poczucie wartości osobistej, rozwija instynkt harmonji i darzy radosnem na świat spojrzeniem.

L. B.

Kilka Sylwetek z

urządzonego dn. 17 kwietnia prz
i M-me He
w Sali Malinowej

Stało się, że wreszcie i Warszawa miała pokaz mód prawdziwie po europejsku zaaranżowany. To znaczy bez sztywnej atmosfery magazynu, gdzie unoszą się — mówmy językiem okultystów — niemiłe fluidy kupowania, żenujących targów, bolesnych dla klientek wycofywań się, trudnych obliczeń budżetów z ową wieczną łamigłówką: „czy mogę sobie pozwolić na tę cudną, przecudną toaletę?"

Pokaz mód, urządzony przez firmy Gustaw Zmigryder i M-me Henriette w Sali Malinowej hotelu Bristol dnia 17-go kwietnia, był naprawdę imponującym rautem.

Na godzinę przed rozpoczęciem zaczęły już ściągać tłumy. Westybul Bristolu zaroił się od elegantek i elegantów warszawskich, a gdy otworzono wreszcie Salę Malinową, trzeba było nieomal użyć dawnego szlacheckiego zwyczaju, gdy to rozwalano ściany dworków na przyjęcie kuligowego najazdu. Nie uczyniono tego li tylko na błagalne prośby zarządu hotelu, ale wszystkie sąsiednie sale zapełniły się tak szczelnie, że kierownik artystyczny M. Alexandre z trudem tylko wykarczował ścieżynę dla korowodu modelek.

W istocie przez „dziewiczy" las publiczności (proszę nie brać tego epitetu zbyt dosłownie pod żadnym względem, chodzi tu bowiem tylko o zdobną metaforę literacką) — ruszyły w tańcu gibkim a posuwistym nadobne najady, driady, sylfidy i nimfy przyodziane w to, co stworzył Pan — Zmigryder i owe nadsekwańskie bożki czarodziejskie: Bernard, Chanel, Paton, Doucet i inne. Owijały więc owe złoto i kruczowłose sylfidy kapy fantazyjne, z boskich ich bioder spływały proste linje sukien, lgnąc ciasno do kształtów wysmukłych. Igrały sukien plisowania (najmodniejsze!) migotliwą falą barw, a kapelusze M-me Henriette dopełniały, niby cudne kwietne poematy, czarującej całości.

Niejedno tam serce przeciętnej ziemianki drgało tłumionem westchnieniem, niejedno pożądanie poprzysięgło sobie skrycie zmienić się nazajutrz w czyn — — przy ulicy Czystej 2 i Mazowieckiej 6. Nawiasem dodaję, że niejeden tam satyr ku modelkom — driadom chyłkiem się przekradał.

Dzikie, czarne i oswojone murzyny przygrywały na dwóch orkiestrach, aż podzwrotnikowo gorąco czyniło się w salach.

I szły modelki po modelkach wśród oklasków coraz żywszych. Wyrywały się zewsząd okrzyki niepowściągliwe: „ach, ten kostjum!" — „ach, ten kapelusz z kwiatkiem i powiewną woalką!" — „ach, ta, ta właśnie suknia czarna w stylu egipskim!"

Parno już było od westchnień, gdy zakwitły stroje letnie. Zamajaczyły wówczas

przed oczy
ledyn morz
cjonowane
ski — rzec
cingu podb
Potęga
nych twórc
mała na uw
był to vu
wykwintny
dyplomacja
dzaju grube
Pokaz
panów. F
tłumnie, je
mniej inter
chcieli tyll
„zgrozie" u



z Pokazu Mód

przez Gustawa Zmigrydera

enriette

j. Hotelu Bristol

oczyma wyobraźni żółte plaże i se-
morza. Zabiły żywiej pulsa zemo-
wane wyobrażeniem derby. A bli-
rzeć można bezpośredni — rytm dan-
podbiegł do stóp zapraszająco.
tęga mody — potęga jej niestrudzo-
twórców—przez długie godziny trzy-
na uwięzi dwutysięczny tłum. A nie
o vulgus profanum, lecz naprawdę
intny świat Warszawy: arystokracja,
macja, artyści, prasa i wszelkiego ro-
grube ryby.
kaz mód zdemaskował także — —
v. Przybyli bowiem nieomal tak
ie, jak panie. Widocznie więc nie-
interesują się modą, a może, może
li tylko zbliska i w całej nadobnej
zie" ujrzeć molocha letniego sezonu?

Widziałam — tak, widziałam, jak płonęli w jego ogniu bezopornie z takim samym wyrazem zachwytu w oczach, jak kapłanki wielkiego boga — panie.

I nie dziw. Barwa, linja, rozmaitość, zmienność, to przecież urok, to radość coraz od nowa odkrywana w szarem „panta rej" życia!

Inicjatorom pokazu należy się zato wzrokowe święto i dank i uznanie. A my konstatujemy, że w dziedzinie mody przesunęła się Warszawa o dużo, dużo stopni gieograficznych na Zachód.

NINA





ROZUM NÓG I RAMION

Tu jeździec nogom końskim rozum swój powierza.

Tak śpiewa Mickiewicz w sonecie Krymskim p. t. „Droga nad przepaścią Dżehud-Kale“

Lecz ja nie mam zamiaru mówić o kończynach końskich, lecz poprostu ludzkich i to tych, które paradują swoim rozumem w tańcu.

Do niedawna można było mówić tylko o inteligencji nóg. Ale i ona była niewielka. Był to raczej rozum gimnastyczno-ekwilibrystyczny, niż ekspresyjno-poetyczny. Odkąd przyszła Isadora Duncan, szkoła Jacques Dalcroze'a i przedewszystkiem „Balet rosyjski“, tańczące nogi nabrały polotu, sentymentu i wyrazu. Zaczęły być częścią składową całej obrazowej kompozycji, która realizowała plastycznie utwór muzyczny wielkiego mistrza, jak Chopin lub Schumann, albo też wcielała w żywą bajkę baśni o „Ptaku ognistym“ lub „Umierającym łabędziu“.

Wtedy też okazało się, że nogi nie posiadają bynajmniej monopolu inteligencji, że siedzibą jej i instrumentem są także ramiona, zwłaszcza ramiona kobiece. Wyciągnięte w dwie strony świata śnieżną białością swej tęsknoty miłosnej, lub wzniesione ku górze, jak gdyby błagały niebios o kochanka, albo w jakikolwiek sposób zgięte lub załamane, dla samej piękności swych linij i krągłości, odsłoniły cały nowy świat piękna plastycznego, muzycznego i romantycznego.

Wielce uczeni monografowie tańca mówią o jakichś dwóch okresach: erotycznym i seksualnym. To dla mnie za mądre. Nie rozumiem erotyzmu bez seksualności ani seksualności bez erotyzmu. A prawda! istnieje cudna „Szeherezada“ Rimskij-Korsakowa ze swą masą eunuchów. Tu już może być mowa o erotyzmie bezpłciowości. Albo gdyby kto chciał zillustrować choreograficznie wielki i smutny romans Abelarda i Heloizy. Sławny ten bohater średniowiecznej poezji został przecież okrutnie pozbawiony źródła męskiego szczęścia i dumy i dla swej ubóstwienia pełnej kochanki miał już tylko zimny rozum i słowa rezygnacji. Więc i tę parę możnaby wytańczyć erotycznie a bez seksualizmu.

Ale naogół, odrzuciwszy wyjątki, sen o rozkoszy i szczęściu jest najistotniejszą częścią składową rozumu nóg i rozumu ramion.



PARNEL I PAWLISZCZEW A „BAJADERA“ — Fot. Leo Forbert

Trzeba dla kompletu dodać jeszcze nienajbłahszy przecież organ, przez który mówi dusza i rozum: twarz i oczy. Ongi tancerka i tancerz musieli mieć mdłe, słodzone uśmiechy i banalno-konwencjonalne ukłony i miny. Dzisiaj twarzy, tak spostponowanej w tańcu, kazano żyć i brać udział w ogólnym akordzie nastroju smutku czy radości, elegji czy triumfu, pogody czy rozpaczy.

Jest cała plejada znakomitych tancerek, które już wiedzą, jak przeniknąć inteligencją całą swą postać. Rita Sacchetto, Sent M'aheza wzięły klasyczne ruchy i przeguby od fresków pompejańskich albo płaskorzeźb egipskich i asyryjskich. Zaczęło się uczone, może zbyt uczone naśladowanie i stylizowanie. Szczególnie Sent M'aheza, którą widzieliśmy w Warszawie przed dwoma laty, była pomysłowa w odtwarzaniu sfinksowej i hieroglificznej tajemnicy Wschodu. Ale — wyznam, że owe stylizacje licho się pokrywały np. z rozkrwawionem sercem przednowoczesnej, żałosnej muzyki, a przytem w nich rytm łączył się nie z ruchem, lecz z nieruchomością. Żywa, pulsująca pantomina przeszła w ostygłe pozowanie. Widz ciągle czekał na taniec, a tańca nie było. Widownia zamieniała się w wielką, natłoczoną poczekalnię.

A tymczasem powinno było zależeć artystkom na owej syntezię ruchu, formy i rytmu, która mogłaby dać przedsmak całkowitej poezji. Podobno na widok takiej całkowitej sztuki wykrzyknął poeta Puszkin, rodak Petipy, Fokina, Niżynskiego, Karsawiny, Pawłowej — że taniec ten wart więcej od całej poezji francuskiej. Powiedzenie mocne ale zrozumiałe w kraju, któremu było sądzone, z jednej strony napełnić pięknemi figurami sceny i estrady świata, a z drugiej krwawym sabatem czarownic i czartów — oprawców zaludnić własne swoje stolice.

Snadź i same tancerki zdawały sobie sprawę, że są zbyt hojne w linjach a zbyt skąpe w ruchu i życiu, gdyż próbowały potęgować je zapomocą wspaniałych barw swych szat. Nawet same zakładały pracownie fantastycznych i stylowych kostjumów i o tem głośno opiewały afisze! Było to, po pierwsze, konkurencją dla Zmigrydera, a powtóre, nieznacznie a sprytnie przenosiło cały punkt ciężkości do kolorystyki sukien, woalów i zasłon. Ge-

njusz malarsko-konfekcyjny Baksta, dostawcy pomysłów kolorystycznych i rysunkowych dla grup i symbolów tańczących, nie dawał i nie daje spać. Więc nie było wiadomo, kogo mamy podziwiać np. w Ricie Sacchetto, jednej z najpiękniejszych, najharmonijniejszych głów, szczęśliwym przypadkiem urodzonych jak gdyby według modelu hiszpańskiego.

Oczywiście, koncert barw utrwalił się i już nic go nie zakasuje. Ale ciągłe pauzy w tańcu, szukanie dopiero natchnienia, bezustanne interpretowanie najszaleńszej melodji jako namysłu i niezdecydowania, nie mogło się przyjąć na długo. Była to już agonja werwy i temperamentu.

Wielka wojna wskrzesiła je. Na zaklęty spokój klasyczno-egipski runęła nawała dzikości murzyńskiej lub rosyjskiej. Shimmy, tańce Połowców i naturalistyczny kiermasz „Pietruszki“ Igora Strawińskiego. Śmiało zdarto z siebie wielce misterne draperje i zostawiono tylko przejrzyste gazy—albo nie zostawiono nic. Nagi czas osłonił swoją nagością nagie kobiety i mężczyzn. Parnell, jeden z najświetniejszych tancerzy powojennych, pokazuje bez wstydu swój tors i swoje muszkuły, i panie na ich widok nie gorszą się bynajmniej. A już napewno nie gorszą się panowie na widok obnażeń p. Pawliszczewej. Widziałem pół roku temu, w jednym z wielkich teatrów w Nadrenji, wspaniałą „Legendę o Józefie“, Ryszarda Straussa. Jest to chyba najpiękniejszy z baletów, jakie wydała doba dzisiejsza, boksersko-ultraerotyczna. Żona Putyfara jest wściekła i niepohamowana, i nie mogą jej żądzy zaspokoić nawet prawdziwi bokserzy, którzy występują prawie nago przed królową i tłuką się pięściami aż do nadwyrężania nosów. Tej właśnie chwili i tendencji dziećmi nieodłącznemi są pp. Makarowa i Luziński a szczególnie pp. Parnell i Pawliszczewa. Kobieta zamienia się w pnącz, w bluszcz, jak żmija oplata się, jak strzyga czarodziejska obraca się dokoła ramienia tancerza z szybkością i ryzykiem karkołomnego salto-mortale. Częste *tours de force* i nagłe rzuty, jak wielkie iskry elektryczne, przyspieszają dech. W „Bajaderze“, w „Narzeczonej Lukullusa“, w fantazji na temat tańca Anitry Griega jest już wszystko, co dzisiaj w tańcu być powinno: szał, namiętność, rozum w nogach i ramionach, upojenie w oczach.



PARNEL I PAWLISZCZEWA *Fot. Leo Forbert*

„UCZTA LUKULLUSA“

Oto co zrobiła wspaniałomyślność nóg, które się swą inteligencją podzieliły z ramionami i całem ciałem i wspólnemi siłami odgadły zwarjowanego ducha czasu. I oto, jak się zmieniły tempa. Przedwojenne melancholje uciekły, jak chmury przed skrzydłami żar-ptaków, którym nawet i szlachetne tango, ostatni z tańców tęsknych — już się wydaje czemś martwem.

CEZ. JELLENTA



NIBY COŚ, NIBY NIC
CZYLI
O KOBIECIE I O MIŁOŚCI

(ANTROPOIDEALNY DJALOG ZWIERZĄTEK)

Teren pogwaru: cukiernia właściwie mało ziemiańska, więcej giełdziarska. Sząco-tłocząca ciżba przy stolikach. Trzy centra: paskarskie, erotyczne i literacko-artystyczne. Jedna wspólna atmosfera: wzajemne niewymowne spojrzenia i wymowne podejrzenia.

Figury działające: Dziad, biały szpic, wychowanek właścicielki magazynu mód (pierwszorzędnego!). Wyczesany, różowo skokardowany, zdeprawowany kulturą stolicy. Kresowiec zhisteryzowany i zmanjaczały. Pałaszuje babkę. Leży pod stolikiem. Na linewce.

Tarzan, szaro-bury magocik w niebieskim czapraczku, małpiszon bezogoniasty, dżentelmen urodzony na Gibraltarze, wychowany w Hamburgu, zakupiony w przystępnym dniu zrównania marki polskiej z niemiecką w Katowicach Drogocenny prezencik złożony ongi przez dyrektora szajki przemycającej walutę na ramieniu powszechnie znanej, czarującej, eks-cytującej gwiazdeczki filmowej hrabiny Dziuni Braco-poco-smacu. Aforystyczny aferzysta, zarozumialec gryzoń, stary kawaler. Wstrzymuje się od przyjmowania pokarmów. Zasiadł w kuczki tuż przy swojej pani. Na łańcuszku.

Wstęp do afery: Jazgot, pisk, warczenie, charczenie, wzdychanie.

Rzecz sama: Po chwili uspokoili się ludzie, a tuż po nich i zwierzęta.

NIBY COŚ

Tarzan: Posiadam niebywałą wprawę w rzucaniu. Wyrżnę w łeb szklanką zanim zdołasz dopaść mię ząbkami. Natomiast proponuję ci rozejm. Zabawmy się, naśladując ludzi.

Dżak (warcząc): Małpowanie jest przeznaczeniem twojem. Mnie nie przystoi tego rodzaju wysiłek. Zresztą wolę spoglądać na ludzi, którzy tak udatnie naśladują zwierzęta.

Tarzan: O! widzisz, jak zajmującym być umiesz, poniechawszy choć na chwilę przykre manjery twojego gatunku. Powiedz, chcesz myśleć?

Dżak (ziewając): Owszem! Tak sobie... bezładnie.

Tarzan: No, a chcąc myśleć, trzeba jeść, jedząc trzeba trawić, trawiąc zaś trzeba gadać. Koniecznie.

Dżak: Dlatego ludzie plotą trzy po trzy. Musi to być jednak czynność również nużąca?

Tarzan: Skądże! Jako Słowianin możesz sobie na znaczną swobodę pozwolić, by zarzutu zawiłości uniknąć. A więc wręcz odwrotnie, aniżeli u nas Anglosasów: najsampierw same słowa, durne, przeciętne, serdeczne, a dopiero za niemi w oddaleniu znacznem, tu i owdzie myśl jakaś, ledwie że dniejąca i byle nie nowa, byle nie nowa.

Dżak: Jeśli tak, to dobrze. Zupełnie jak dwunogi: niby coś i niby nic.

Tarzan: A cóż to jest, to niby coś?

Dżak: Kobieta.

Tarzan: All devils! A niby nic?

Dżak: Niby nic — to miłość.

Tarzan: Jesteś pewny?

Dżak: Słowo honoru daję, jak Boga kocham!

Tarzan: Dobrze, dobrze. A skąd wiesz o tem wszystkiem?

Dżak: Jakto skąd? Z przymierzalni moich państwa. Za kotarą leżąc, napatrzę się do przesytu wszelkich możliwych odmian kobiecych...

Tarzan (kichając dwuznacznie): Niemożliwych również?

Dżak: Sporo, sporo. Nagie, ubieliźnione, zatrykotowane, w robach z dekoltem, w kostjumach pod szyję.

Tarzan: Niedyskretny jesteś, ale tylko w ten sposób powiedzieć możesz coś nagminnie zajmującego. Otóż, mój ty wrzaskliwy bachorze, racz obecnie wyjawić, która kobieta bardziej przypomina prawdziwego człowieka, ubrana czy naga?

Dżak (opryskliwie): Żadna.

Tarzan: Nie rozumiem.

Dżak: To ja nie rozumiem pytania twojego. Kobieta jest podobna wyłącznie do siebie samej. Jedna i ta sama ubrana w niczem jednej i tej samej nagiej nie przypomina. Widzę jednak, że powątpiewasz w człowieczeństwo kobiet...

Tarzan: Skądże znowu! Wyraziłem jedynie przypuszczenie, a ponieważ do twierdzenia zbywa mi na dowodach, muszę wierzyć w przynależność kobiety do rodzaju ludzkiego. Zbyt jestem sumienny, ja, przedstawiciel myśli zachodnio-europejskiej. Muszę wierzyć, słyszałeś, hebesie!

Dżak: O rozpacz to zagadnienie cię przyprawia. Mówmy więc o kobiecie w małżeństwie, przy pracy, w uczelni, w szpitalach...

Tarzan: Nie, nie przenigdy! To okropne, to przygnębiające... Raczej w przymierzalni twojej pozostańmy. Kiedy więc kobieta jest najbardziej skromna?

Dżak: Kobieta nigdy nie jest taka lub owaka. Kobieta „dzieje się“ zawsze, a właściwie stara się

być „jakiemś coś". Nigdy porządnie nie zacznie i naprawdę nie skończy. Z dziecięcą bezwiednością za przeciwieństwem każdej swej chwili ugania. Rozebrana, bardziej bywa skromna, aniżeli w sukni, wystrojona zaś, usiłuje prześcignąć wszelką możliwą rozpustę nagości.

Tarzan: Dotarliśmy do umysłowości kobiecej najświadomiej obracającej się wśród nieskończonych niemożliwości. Wypełniają tę umysłowość jako naczelne zagadnienia: na życzenie mężczyzn moda i uroda, na życzenie zaś samych kobiet pieniądze.

Dżak: Mężczyźni (zamożni, bo inni nie wchodzą w rachubę!) ułatwiają zbliżenie mody do kobiecej urody, zaś zbliżenia samej kobiety do jej wdzięków nikt nie ułatwia. Gdy się zjawi myśl jakaś w kobiecie, na twarzy niema dla niej miejsca. Przyrodzone braki czy niedostatki tkwią w przykryciu tchórzliwem, niezużyte i niewypełnione. Klasycznie piękne niewiasty odwagi nie mają, by zabójczą nudę z oblicza precz przegnać. Istne zwapnienie wdzięków, pozbawionych ożywczego działania inwencji i improwizacji.

Tarzan: Piękno wymaga stwarzania nieustannych niespodzianek przy zachowaniu pozorów stałości, kobiety zaś umieją być głębokie i zmyślne przeważnie tylko w okresach wielkich napięć erotycznych...



Dżak: Poza tem bywają okrutnie i przesadnie sprytne. Ale tu już zbliżyliśmy się do omawiania miłości czyli niby niczego, o czem przy spotkaniu jutrzejszem.

Tarzan: Nagadałeś się i strawisz twą babkę, ja zaś z wywodów twych dostanę niestrawności.

Dżak: Na zakończenie mam ochotę warknąć. U nas liczą się tylko z tym, który szczeka głośno.

Tarzan: U nas zaś z tym wyłącznie, który boleśnie ukąsi.

Dżak: A więc kąsaj następnym razem... spółczesne pojmowanie miłości.

Finale: Odpływają wraz z rzeszą spieszącą na obiad. Dżak, dopadłszy pierwszej lepszej latarni, pod tejże osłoną nieskończenie długo manifestuje swe zdenerwowanie, opanowany zaś Tarzan łeb rozparpany wetknął do otworu mufki i odjechał samochodem.

Ani jeden, ani drugi nie pomyśleli, co należało:
że świat jest piękny, bo żyją na nim kobiety,
że ludzie są mądrzy, bo na świat ich wydają: niewiasty.

ROMAN JAWORSKI

TRISTESSES ET MONDANITÉS

Ah! ma chere! — jestem w takiej rozpaczy...
Tak niedobrze mojej duszy tułaczej...
Dziś nie spałam całą noc do rana.
Ja zabiję się! — moja kochana!
Ale prawda!!! gdzie ja mam też głowę —
Chcę pokazać ci suknie balowe.
Ta od Wortha jest — a ta od Chanela
(To się wścieknie Zuleczka i Ela.)
Na ramionach tylko jedna pętelka —
takiej nie ma sama Izabelka...
Ach! koteczku! jestem w podłym nastroju...
Sama nie chcę pozostać w pokoju,
Bo napewno strasznego coś zrobię
I pojutrze — złożycie mnie w grobie......
Życie STRASZNE JEST... A w sklepie Lucyny
wystawiono kapelusz z tyftyny,
Całkiem skromny; jedyne przybranie
ogon małpy — tu le vois — kochanie?
Wprost cudowny! ale mnie w tym fasonie
Nie jest dobrze. Dusza w smutku tone
I tak skarży się jękiem... NIESTETY!!!
Czy widziałaś mój tricorne z georgetty?
Ten z Paryża? na dwa metry długi,
na nim siedzą trzy młode papugi.
Moja Droga!! Ta zawiłość, życia...
100.000 pół arszyna podszycia!
a wstążeczka w kwiatuszki bułgarskie
pół miljona na franki szwajcarskie...
Wszystko smutne jest i takie... codzienne...
Zamówiłam koszulki dwie dzienne
„Spider's web" nazywają te dziwy
z pajęczyny zeszyte prawdziwej;
takie wiotkie są jak ludzkie zasady —
SMUTNA JESTEM! na to niema rady...
Męczą życia mnie ciemne problemy...
W takim mroku jesiennym żyjemy.
Idę w życie — sama nie wiem dlaczego —
i jak senna — j'entre do sklepu Hersego.
TO FATALIZM JEST — moja kochana,
Myśląc o tem nie spałam do rana —
Takie wszystko nikczemne i blade...
DORCIU! PROSZĘ PODAĆ CZEKOLADĘ!

LULA



NATOIRE (?) AMOR I PSYCHE

wł. Janusz Ks. Radziwiłł

WYSTAWA DZIEŁ SZTUKI FRANCUSKIEJ

w Towarzystwie Opieki nad Zabytkami Przeszłości

Raz jeszcze, dzięki inicjatywie Towarzystwa opieki nad zabytkami przeszłości, otwarły się na użytek publiczny zbiory nasze prywatne, tym razem ukazując tę część swoich bogactw, która świadczy o odwiecznych naszych stosunkach kulturalnych i artystycznych z Francją.

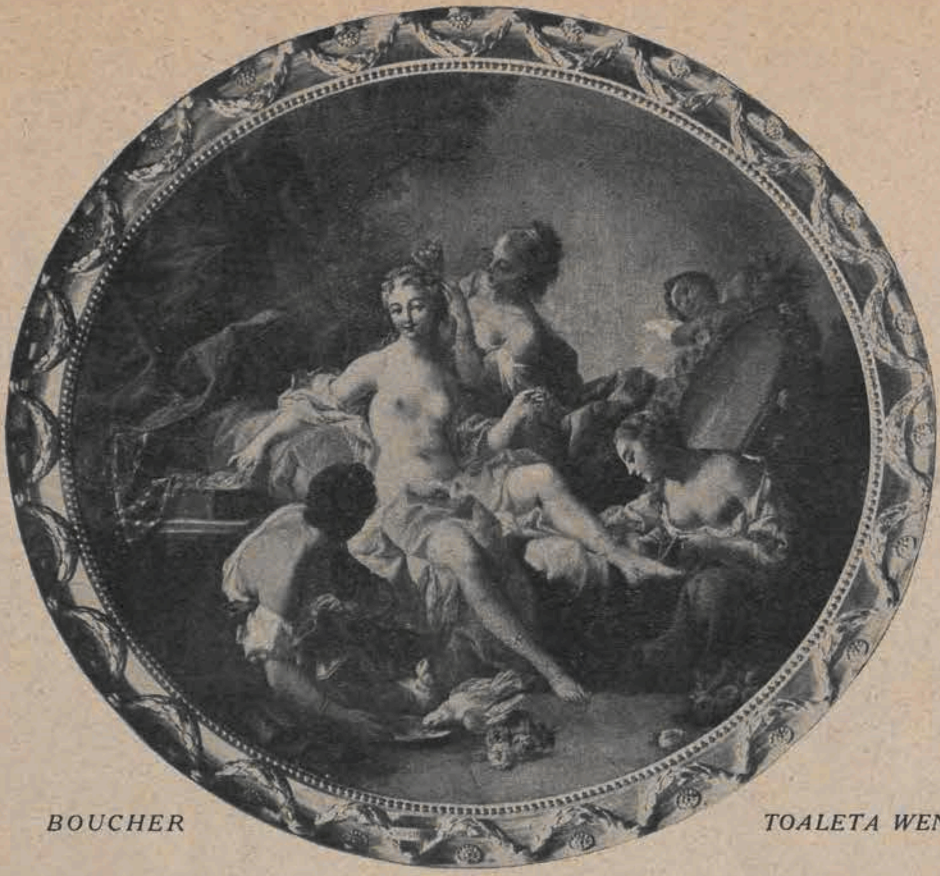
Taka właśnie była myśl przewodnia wystawy, urządzonej z powodu pobytu śród nas marszałka Focha jako jedno jeszcze świadectwo pokrewieństwa duchowego dwóch narodów. Jak zaś bliskie było od wieków to pokrewieństwo w dziedzinie sztuki, tego dowodem jest chociażby ów fakt, że najcharakterystyczniejsza gałąź sztuki naszej od Francuza Norblina w prostej linji wiedzie swój rodowód.

To też gdyby wystarczyło było czasu na przeprowadzenie niezbędnych prac organizacyjnych, wystawa obecna dostarczyłaby może niejednego przyczynku do dziejów sztuki francuskiej; pomyślana jednak w ostatniej niemal chwili przd świętem naszego z Francją braterstwa, zorganizowana dosłownie w ciągu dni kilku, jest ona drobną tylko cząstką naszego w danej dziedzinie stanu posiadania i przypadkowym zupełnie zbiorem dzieł, w którym jedynie koniec XVIII-go wieku i początek XIX-go zobrazowane są nieco pełniej.

Niemniej jednak głęboka wdzięczność należy się właścicielom, którzy z wyjątkową uprzejmością ofiarowali zbiory swe na wystawę, nie wahając się nawet niejednokrotnie przed narażaniem ich na niebezpieczeństwa tak pośpiesznego przewozu; tej też ofiarności zawdzięczać należy, że wystawa poszczycić się może niejednem dziełem pierwszorzędnego zupełnie znaczenia i które byłoby ozdobą, nawet w pierwszorzędnej galerji francuskiej zawieszone. Dla tych to wybranych arcydzieł wystawa francuska opłaciła się sowicie. Im też poświęcić należy baczniejszą nieco uwagę.

Chronologiczny czyniąc przegląd wystawy, na pierwszem miejscu wymienić wypada portret Henryka Walezjusza, (około r. 1575) pochodzący ze *szkoły Franciszka Clouet'a*; z tej szkoły portrecistów, która czystość linji i plamy, właściwą Odrodzeniu, doprowadziła do ostatecznych granic wykwintu i wytworności, dochodząc zarazem do szczytu subtelności w posługiwaniu się materjałem malarskim. To też nowe dopiero sposoby widzenia artystycznego, zrodzone we Flandrji, Holandji i Hiszpanji, wyprzeć zdołały ów typ portretu, stanowiącego najwyższy wyraz arystokratyzmu malarskiego.

Wybitniejszym przedstawicielem w. XVII jest na wystawie jeden z braci *de Champaigne*, Filip, lub Jan Chrzciciel, z charakterystycznym portretem zbiorowym, obok typowej „Bitwy" w rodzaju *Bourguignon'a* i bardzo dobrego rysunku sangwiną przez Ant. *Masson'a*. Zwraca również uwagę „Mojżesz, dobywający wodę ze skały", obraz wykazujący bliskie pokrewieństwo z *Poussin'em*.



BOUCHER *TOALETA WENUS*

wł. Alfred hr. Potocki



WINTERHALTER *ADAMOWA hr. POTOCKA*

Zbiory wilanowskie



RICARD *KONSTANTOWA hr. BRANICKA*

Zbiory wilanowskie

Wystawa zyskuje na bogactwie, przechodząc do wieku XVIII. Pierwsza połowa stulecia reprezentowana jest zresztą przeważnie przez szereg dosyć tuzinkowych portretów, które w zbiorach naszych figurować zwykły pod sakramentalną denominacją Largillière'a i Rigaud'a. Ponad tę zdawkowość wznoszą się jedynie dwie kompozycje dekoracyjno-mitologiczne *Lemoine'a*. Druga natomiast połowa wieku posiada przedstawicieli istotnie wybitnych. Na pierwsze śród nich miejsce wysuwa się *Fragonard*, którego „Przysięga miłości" wskazuje, jaką głębię malarską artysta ten ukrywał pod pozorami swawolnego wdzięku i uśmiechniętej galanterji, właściwej swemu pokoleniu. „Przysięga miłości", przy pozorach konwencjonalnej sielanki, rozwiązuje problematy światła i barwy, których nie powstydziłby się postawić sobie sam Rembrandt.

Mówiąc o wieku XVIII, tuż obok Fragonarda nie zawahałbym się postawić *Avèd'a* z jego portretem męskim, prostym, świetnie malowanym, wolnym całkowicie od zdawkowej reprezentacyjności, tak nużącej w gorszych tego rodzaju pracach owej epoki. Zwraca również uwagę *Roslin'a* portret Elżbiety z Czartoryskich Lubomirskiej, niestety uszkodzony przy restaurowaniu, i w tym jednak stanie uderzający siłą charakterystyki i żywością wyrazu przy zupełnej prostocie środków. Również portret damy z pieskiem i małpką na tle parku, — trudny do zdefinjowania — pomimo konwencjonalnej mocno dekoracji tła i zdawkowej elegancji w upozowaniu zaciekawia nadzwyczaj subtelną gradacją białych barw. *Boucher*, którego sława, lub raczej popularność, większa jest nierównie od zalet malarskich, reprezentowany jest przez trzy większe kompozycje treści mitologicznej z domieszką ośmnastowiecznego erotyzmu, pochodzące ze zbiorów łańcuckich, dwa wdzięczne i bardzo charakterystyczne drobiazgi ze zbiorów p. Florjanowicza, oraz przez portret kobiecy z tychże zbiorów, który — o ile jest istotnie dziełem Bouchera, należy żywością charakterystyki do lepszych dzieł tego artysty.

Pod względem zalet malarskich znacznie przewyższają przereklamowanego Bouchera dwie kompozycje z cyklu „Eros i Psyche", z braku lepszej denominacji przypisane *Natoire'owi*, a w których poprzez ocukrzoną zmysłowość rokokową przebijają jeszcze wielkie tradycje malarskie w. XVII. Tu wreszcie wymienić należy *Greuze'a*, reprezentowanego przez dwa obrazy nie całkiem pewnej autentyczności, a którego sława, zupełnie niewspółmierna ze skromnemi dosyć zaletami pendzla, uzasadnić się da chyba tą zasługą, że był on jednym z pierwszych przedstawicieli prądu przeciwrokokowego.

Drugi natomiast z przedstawicieli tego prądu, a któremu dane było być zwycięzcą i wodzem, — *David* — figuruje na wystawie z obrazem, z całej wystawy mającym największe, być może, znaczenie z punktu widzenia rozwoju sztuki. „Stanisław Potocki na koniu", obraz datowany r. 1781, pochodzi z epoki, kiedy David nie zamienił jeszcze konwenansu sztuki rokokowej na nowy konwenans — klasycyzmu. Obraz ten pochodzi z epoki bojowej, kiedy artysta zabierał się dopiero do obalenia starej sztuki, oparty na bezpośredniem studjum natury. Jako ilustracja tej chwili, bardziej jeszcze, niż jako obraz wybitnej wartości, jest „Stanisław Potocki na koniu" bezsprzecznie najważniejszem na wystawie dziełem. Obok portretu tego blednie, świetna skąd inąd, tegoż David'a młoda para przy szachach, a nawet — przy pierwszorzędnych zaletach reprezentacyjnych — *Gerard'a* portret Zofji Ordynatowej Zamoyskiej z dziećmi. Z epoki tej wyróżniają się dalej na wystawie: Achilles i Bryzeis, prawdopodobnie *Gros'a* — jedno jeszcze usiłowanie oparcia się na naturze — oraz o wiele dalej w tym kierunku idące studjum *Gericault'a* „Małpa i osioł", brzmiące echami potężnego malarskiego realizmu Chardin'a. Walkę nieustanną realizmu z konwenansem reprezentuje z tej epoki również *Vigée — Lebrun*, której portret zwłaszcza ks. Czartoryskiego, jest walki tej momentem zwycięskim; szkoda tylko, że podobnie, jak większość obrazów z Łańcuta, przez nadmierne oczyszczenie i wywerniksowanie całkowicie pozbawiony laserunków i patyny. Restauracje dokonane były podobno w pracowni Louvre'u; widocznie pracownia ta dzieła, przychodzące z Polski, uważa za wystarczające traktować środkami, odpowiedniemi raczej w pralni chemicznej. *Horacego Vernet'a* Somosierra zamyka poczet wybitnych dzieł pierwszej połowy w. XIX, a jednocześnie listę wybitniejszych dzieł wystawy. Z czasów późniejszych na wyróżnienie szczególne zasługuje jeden tylko obraz — *Dau-*



DAUMIER — CORSO WŁOSKIE

wł. Czesław Garliński

mier'a „Corso włoskie"; wymienić jeszcze można wchodzącego dziś w modę, *Ricard'a*, którego portret hr. K. Branickiego, z typu obrazów „w rodzaju starych mistrzów", posiada jednak niewątpliwe zalety, dalej jednego Winterhaltera, o ile tego zimnego malarza fałszywej elegancji zaliczyć się godzi do Francuzów, wreszcie zbiór szkiców szkoły Barbizon, dosyć skromnych, ale reprezentujących jednak, choć w maleńkiej cząstce, potężny wysiłek twórczy Francji w drugiej połowie w. XIX.

Osobną salę zajęła część zbiorów Krosnowskiego; obok szeregu świetnych gobelinów i bronzów znalazły się tu również meble, — wraz ze zbiorami wilanowskiemi dające obraz tego przemysłu, który stał się we Francji sztuką. Śród wystawionych mebli są niewątpliwie sztuki pierwszorzędnej wartości, jak naprzykład komódka „Louis XV" roboty *Dubois* ze zbiorów wilanowskich. Te dzieła zdobnictwa w sposób nadzwyczaj szczęśliwy dopełniają całości wystawy, która raz jeszcze zamieniła sale kamienicy Baryczków w czarujące wnętrza, tchnące echami czasów minionych.

Wacław Husarski



FRAGONARD *PRZYSIĘGA MIŁOŚCI*

wł. Alfred hr. Potocki



IV

Wrodzona wstydliwość nie pozwala mi niestety na szczegółowe omówienie wielu sekretnych a smakowitych rarytasów. Same tytuły przyprawiłyby zecera o rumieńce, drukowanie zaś streszczeń lub wyjątków ściągnęłoby na redaktora „Pani“ gromy oburzenia ze strony czytelniczek — za to, że drukuje „takie rzeczy“... ...bez ilustracyj. Z żalem więc pominę „Elegantiae latini sermonis“ (Lugduni 1757), traktat Cyclopiusa „Antidolarius contra furiosam Veneris frenesim“ (Norimbergae 1510), Gastiusa „De virginitatis custodia“ (Basileae 1544), Hectora di Venella „Bellum Veneris Coniugale“ (1627), Prokopa Coltelli „L'art de faire des garçons“ (Londres 1787) albo Hilla „Lucina sine concubitu“ (Lipsk 1751). Tytuły książek zostawiam bez przekładu, aby zachęcić czytelniczki „Pani“ do nauki języka łacińskiego. Która zaś z szanownych pań pragnie zasięgnąć dokładnych informacyj o literaturze zakazanej, tej polecam:

1. J. Lemounyer. Bibliographie des ouvrages relatifs à l'Amour, aux Femmes, au Mariage etc. Paris 1894—1900.

2. Hayn. Bibliotheca germanorum erotica. Leipzig 1885.

3. Laporte. La bibliographie jaune. Cocupolis 1880.

4. Pisanus Fraxi. Index librorum prohibitorum. London 1877.

5. Vorschlag zu einer Lesebibliothek für junge Frauenzimmer, b. m. 1780.

Dla początkujących — wystarczy. (A propos: do zaawansowanych w studjach bibljograficznych osób zwracam się z prośbą. Poszukuję dziełka Georga Francka „Tractatus philologico-medicus de cornutis“, Heidelberg 1676. Jest to dzieło naukowe o rogaczach. Kto natrafi na ślad tej arcyciekawej książki, ten zechce mnie łaskawie zewiadomić. „Cena nie gra roli“. Ale... honny soit qui mal y pense!).

V

W roku 1595 ukazało się anonimowe dziełko „Disputatio nova contra mulieres qua probatur eas homines non esse“. To, że autor nie podał do wiadomości nazwiska swego, stanie się rzeczą zrozumiałą, gdy dowiemy się, że tytuł ten w przekładzie brzmi: „Nowa rozprawa przeciw kobietom, dowodząca iż nie są one ludźmi“. Poznałby śmiałek pazury niewieście, gdyby się odważył wystąpić bez przyłbicy! Anonim uchronił go od śmierci męczeńskiej. Ciekawa to książeczka! Tezy swej dowodzi autor na mocy 50-iu przykładów z pisma świętego, a więc: ani stary, ani nowy testament nie nazywa nigdzie kobiety „człowiekiem“, pramacież lwa też nim nie była, bowiem Bóg powiedział „chcę stworzyć *człowieka*“ (w liczbie pojedyńczej), i stworzył Adama, powiedziałby zaś „chcę stworzyć *ludzi*“, gdyby i żonę jego obdarzyć pragnął tą wysoką rangą. Tę samą metodę rozumowania stosuje autor do sprawy grzechu pierworodnego: gdyby Ewa była człowiekiem, w raju zgrzeszyłoby dwoje ludzi, apostoł zaś mówi wyraźnie: „Przez winę *człowieka* nastał grzech na świecie“. W ten to sposób, opierając się na subtelnem rozróżnianiu singularis i pluralis w tekście biblijnym, doprowadził anonimowy autor rozprawkę swą do końca. Trudno oprzeć się wrażeniu, że był to figlarz, parodjujący metody nauki scholastycznej; nie poznał się jednak na figlu wydział teologiczny uniwersytetu wittenberskiego, który wytoczył przeciw wrogowi niewiast ciężkie działa polemiki, dowodząc, iż aczkolwiek „impurus iste canis“ (ten brudny pies) stroi sobie pewno żarty, niemniej jednak „decanus, senior et professores theologicae facultatis aca-

demiae wittebergensis" czują się w obowiązku oświadczyć, że kobieta jest człowiekiem.

Zagadnienie to nieraz jeszcze było przedmiotem roztrząsań „naukowych". W roku 1767 wyszła książeczka, traktująca ten sam temat z zacięciem humorystycznem („Beantwortung der Frage, ob das Frauenzimmer ein notwendiges Uebel sey"), a w r. 1791, w Królewcu — „apologja płci pięknej



czyli dowód że kobieta jest człowiekiem". Ciekawa jest przedmowa do owej apologji: autor zaznacza, iż według rozpowszechnionego mniemania naturalistów ówczesnych dusza kobiety ma locum w miejscu, o którem tyle tylko powiem, że od greckiej nazwy jego pochodzi słowo histerja.

VI

Od rzeczy obcych przejdźmy na chwilę do niezwykłego curiosum polskiego. Curiosum — dzisiaj, gdyż swą „Instrukcyę względem pryncypalnieyszych punktów religii, obyczaiów i przystoynego rządzenia się na świecie, od oyca córce swoiey daną" (Supraśl, 1758) napisał ks. Woyciech Kłossowicz całkiem poważnie, lecz wciągu 150 lat, jakie dzielą nas od roku ukazania się książki, nastąpił tak oszołomiający przewrót w „obyczaiach i przystoynem rządzeniu się" panien, że instrukcje cnotliwego autora wywołują tylko uśmiech pobłażliwy. Niechaj o tem świadczą następujące cytaty:

„Nietylko w sercu, w uściech, ale też y w stroiach twoich niepowinno się nic znaydować, coby urażało modestyą... Co się tycze mody, nie widzę w tym żadney inkonweniencyi akkomodować się zwyczajowi, byleby ten nie był przeciwny modestyi. Ustawiczna w modach odmiana iest to charakter lekkości narodu; opponować się iednak temu samey iedney, co z siebie iest ani złe ani dobre, byłaby to rzecz mniey rozumna. Nim nowey nieiakiey chwycisz się mody, uważay, ieżeli (= czy) iuż od większey części iest przyięta".

„Niemasz zaś nic przeciwnieyszego modestyi, która się z twarzy panieńskiey wydawać powinna, nad one fałszywe kolory, które



białegłowy wieku tego do naturalnych przydawać zwykły: które miasto tego, coby wdzięku i piękności przyczynić im miały, boskie i ludzkie urażaią oczy y które przez marszczki, zgrzybiałey starości przyzwoite, twarz ich oszpeciwszy, ieszcze przed czasem babami ie czynią z dopuszczenia



Pańskiego, karzącego ie tym, czym go głupie obrażaią".

„Gdy sama iędna znaydniesz się w domu twoim a przyidzie do ciebie z wizytą człowiek tego charakteru, z którym sama przystoyność y dobra maniera obliguie aby mówić, zawołayże którego lub którą z domowych twoich y każ przy sobie stać i w tey od gościa trzymać się dystancyi, żeby nie mógł nic z tobą mówić,



czegoby nie słyszała domowa, przy tobie stoiąca. ...Panienka lub inna białogłowa, sam na sam bez potrzeby z męszczyzną konwersuiąca, naraża się na niebespieczeństwo utracenia wstydu, który iest naywyższą płci twoiey ozdobą".

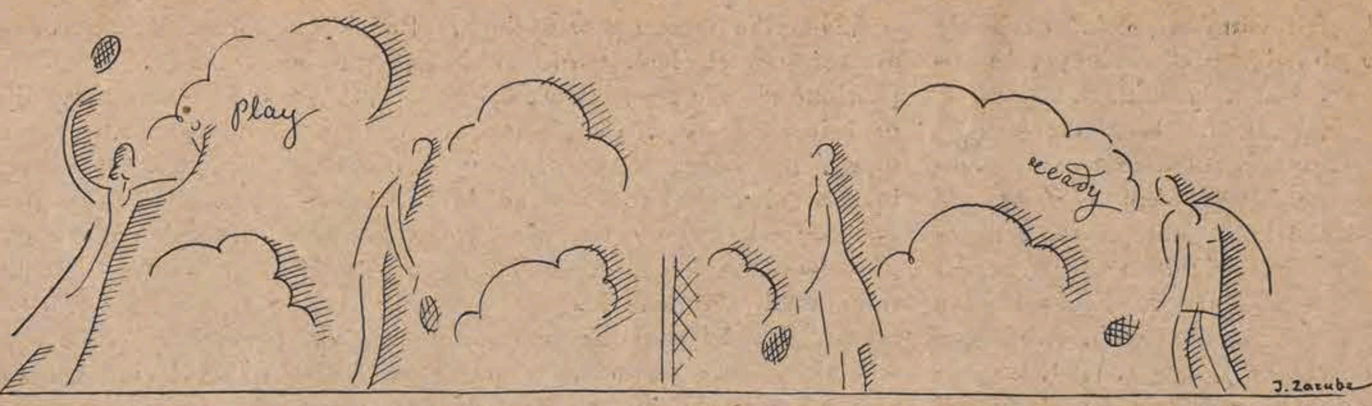
„A gdyby który z męszczyzn assekurował, iż ci ma coś bardzo potrzebnego powiedzieć do ucha: czy massże go słuchać? Nigdy! Sidła to są, którycheś unikać powinna!"

„Wstrzymay się od czytania wszelkich romansów: kompozycyi ich nie inny iest koniec, tylko żeby poruszyły serce, nieporządne paszye y naturalną do złego żeby pobudziły skłonność".

„Nie zabraniam ci żebyś czasem tańcowała; ale pamiętay, iż nie przystoi chrześcijańskiej panience, aby w tych tańcowała okazyach, gdzie iaka, choćby naymnieysza znayduie się licencya".

— Tak to illo tempore bywało: nudno.

J. Tuwim



KONGRES, WYSTAWA, SPORT I AGRYKOLA

Z okazji I Wszechpolskiego Kongresu sportowego w Warszawie, dla zapoznania wszystkich zainteresowanych z naszą produkcją w tym dziale, komitet Związku Związków urządził krótkotrwałą, lecz starannie urządzoną wystawę. Jeśli chodzi o działalność ściśle sportową, propagatorską i wychowawczą, najwięcej miał tam do powiedzenia wojskowy dział wychowania fizycznego. Tabele statystyczne, szereg fotografij i pokazów porównawczych, dowodził i informował o rozwoju progresji życia sportowego w wojsku, jego skutkach i celowości. Zaczynając od najmniej u nas znanego, a zawsze źle zrozumianego przez ogół boksu, kończąc na najbardziej rozpowszechnionej piłce nożnej, wszystko znalazło tam swoje miejsce. Wydało mi się to najbardziej pożyteczne, jako, że w kraju, gdzie wszystko się dopiero zaczyna, nic nie jest bardziej celowe, jak umiejętna propaganda.



Pięknie wyglądały przedmioty użytku sportowego, wystawione (z dużą dbałością o efekt estetyczny) przez trzy największe firmy w Warszawie, jak Rokicki, „Komispol“ i Wierzbicki; znaczna większość jednak zwiedzających patrzeć na nie musiała, trapiona myślą: „do czego to właściwie wszystko służy?“ Zrozumieć więc łatwo, jakie znaczenie może mieć fotografja, kinematograf, gdzie wszystko żyje, działa i przez umiejętne pokazy uczy radość sportu, interesuje i zachęca. Był to dla mnie jedyny błąd wystawy, że nie można było pokazać materjału już zanotowanego na filmie, lub że go wogóle niema. A szkoda! Kluby, prasa sportowa, wreszcie przemysł, ktoś winieno tem pamiętać, że kinematograf oddaje w tym względzie usługi jedyne. Zagranicą wszystkie ważniejsze zdarzenia sportowe oblatują na ekrane najodleglejsze zakątki, ku radości zainteresowanych i zainteresowaniu obojętnych. Zresztą na tem można zarobić. Na dobry pomysł wpadł Polski Klub Atletyczny. W oznaczonych godzinach ładnie zbudowany młodzieniec wykonywał pewne ćwiczenia, usprawiedliwiając egzystencję dość skomplikowanego przyrządu gimnastycznego, który bez jego udziału wyglądałby jak stara, nikomu niepotrzebna gilotyna.

Środek wielkiej sali zajmowało Tow. Wioślarskie. Piękne były łodzie wyścigowe krajowej produkcji. Pesymiści twierdzą, że efekt zewnętrzny nie stanowi o istotnej wartości przedmiotu. Ja chcę wierzyć, że równie są dobre, jak ładne.

Tow. cyklistów, łyżwiarzy, namiot skautów, klub sportowy „Polonia“, wszystko, w miarę możności, dobrze reprezentowane. Piłka nożna najbardziej jest już u nas zaagitowana. Drużyn zawiązuje się coraz więcej, a wojsko, systemem francuskim, uważa sport ten za gimnastykę obowiązującą. Roiło się więc od piłek, zdjęć fotograficznych drużyn wszelkiej kategorji w dziale wojskowym, w „Polonii“ i „Przeglądzie sportowym“. Nie usiłuję wymienić wszystkich i wszystkiego, co wystawa sportowa reprezentowała. Nie zrobię reklamy firmom myśliwskim, wspominając o ich udziale, napróżno pisać będę o piękności wszelkiego rodzaju „sprzętów“ sportowych. Piłki, rękawice, rakiety, dziryty, wysmukłe i lekkie narty, lakierowane kule, skóra, wszystko to ma wygląd niesłychanie czysty, skończony, solidny i prawdziwy. A w Polsce to widok rzadki.

Tak wygląda automobil, aparat lotniczy, piękna łódź motorowa. To nam daje współczesna cywilizacja. W tym winna być wychowana młodzież, dlatego też wszelkie poczynania w kierunku popularyzacji sportu winno być przez rząd i społeczeństwo normalnie a wydatnie popierane.



Sport jest daleko żywszym językiem między wszelkiemi nacjami, niż esperanto. Węgierska drużyna „Förekres“ która gościła u nas przez święta, bez entuzjazmu patrzyła na obce miasto, obcych ludzi, obcy język. Zaświeciły im się dopiero oczy i błysnęły uśmiechy, gdy

im Loth Janek najpiękniejsze strzały chwytał w otwarte ramiona, jak szczupak, co nie chybia w pogoni. To ich ożywiło. Tak też reagował obcy tłum duńczyków w Aarhus, kiedy „Cracovia“ sześć zwycięskich strzałów w bramce duńskiej ulokowała.

Polski klub tennisowy grać będzie na międzynarodowym turnieju w St. Cloud. Trudno im wróżyć zwycięstwo, miło by jednak było usłyszeć coś dobrego o ich tam obecności. Pomijając zresztą wszelkie nieskromne ambicje międzynarodowe, bez których można się narazie obejść, sport w najdostępniejszem znaczeniu tego słowa jak biegi, pływanie, lekka atletyka, piłka nożna, gimnastyka wogóle, nietylko zdrowie fizyczne, lecz psychikę samą wzmacnia, rekonstruuje, uczy higjeny, regimu sportowego, wyrabia wolę, ambicję, poprostu *cywilizuje* w najogólniejszem i najszlachetniejszem znaczeniu tego słowa. Piękne panie w rozwoju sportów naszych mogłyby oddać wielkie usługi! Poprostu odmówić wszelkich względów cherlakom, wymoczkom, neurastenikom, alkoholikom i t. p., szukając w mężczyźnie siły, zdrowia, pewnej solidności fizycznej. Opłaciłoby im się to stokrotnie. Że ludziom dobrej woli rzeczy te leżą na sercu, dowiódł kongres sportowy, którego uchwały i rezolucje otworzyć pragną sportowi polskiemu horyzonty możliwie najobszerniejsze. Naturalnie wszystko to w sferze teoretycznych pragnień pozostanie, dokąd nie rozstrzygnie się kwestji boisk gimnastycznych w dostatecznej liczbie.

Miejscem ogniskującem życie sportowe w sezonie letnim jest Agrykola. Jak widać narazie, Zarząd przebudowywuje place tennisowe. U wejścia wiszą dwa sztandary o miłych szaro-żółtych barwach narodowych. Aleja główna wysypana jest żuzlem, żeby nie było błota. Przypomina starannie urządzone wejście do gazowni.

W tym sezonie napewno będzie to jeden z milszych zakątków dla szeregu ambasadorów zagranicznych i wszelkiej elegianckiej publiczności, która istotnie garnie się do ogrodu, łączącego piękne z pożytecznem. Tennis, atrakcja sportowa, świeże powietrze, podwieczorek, spacer, kolacja. Zeszłego roku nie było to jeszcze najmilszym zakątkiem. Bufet, koncert, służba, miały trochę charakter przygodnie, niefachowo, źle, niedbale prowadzonej stacji kolei wąskotorowej na Pradze Na tarasie, przy stoliku, poza jedną osobą (przeważnie damą), siedzącą tyłem do bufetu, reszta towarzystwa, tylko przy pomocy osobistych zdolności, piła herbatę, niebezpiecznie ku placom tennisowym pochyloną wraz z konsumentem. Przy sporządzaniu rachunku na trzy osoby na wyplamionego kelnera biły siódme poty.

Wytworny polak szalenie lubi zagranicę. Za marny grosz wszystko ma tam już gotowe i zrobione. Samemu doprowadzić własny kąt do jakiegoś cywilizowanego poziomu — nie do pomyślenia! „Bo to, panie, u nas, z naszymi ludźmi, ten tego, drożyzna, waluta, bieda!“

Ale biedy są dwie. Ta cywilizowana godna, staranna, i ta bezwstydna, przyrodzona, niedbała.

Tak było ubiegłego sezonu. O roku bieżącym wspomnę słów kilka przy najbliższej okazji.

WŁ. PORANKIEWICZ

W. WĄSOWICZ DRZEWORYT



LISTY ZE LWOWA

LWÓW, 10 MAJA 1923.

I

Kochana Pani „Pani"!

Piszę do Ciebie zdala, z miasta, które dotąd nie przemówiło jeszcze z Twych szpalt, a którego bruków i wystaw dopiero dotykać zaczęłaś drobną, zwiewną stopą. Piszę do Ciebie zdala i gromadzę myśli rozprószone (dziś święto, wiosna, przyjazd Focha), by dać obraz tego, czem jest Lwów sam dla siebie i czem jest w sercu swoich mieszkańców.

Piszę zdala, choć mógłbym mówić zbliska, gdyż taka jest już rzeczy natura: Lwowianina ciągnie do Lwowa. Lwów jest w Polsce jednem z miast, które najsilniej do siebie przywiązują mieszkańców, które najłatwiej asymilują przybyszów. Słowo „Lwów" jest dźwiękiem, jest wspomnieniem, jest tęsknotą miłą, pogodną, serdeczną a prostą, a mieszkańcy jego, choćby rozprószeni po świecie to gmina, poznająca się wzajemnie, lgnąca do siebie, bo związana jakiemiś tajemniczemi węzłami.

Bo Lwów — pozwól, o Pani, że użyję porównania z zakresu Twojej kompetencji, jest jak niewiasta, może nie klasycznie piękna — i nie klasycznie układna — ale przystojna, żywa, serdeczna, prosta kokietka, której może zbywa na tem i na owem, ale która ma tyle wdzięku, tyle prostoty, zatrącającej o demokratyczność — Ty, o „Pani" nie jesteś demokratką, — że chwyta za serce, bawi, wzrusza.

Macie tam paryskość linji zieleni i will Alei Ujazdowskiej, drogę wykwintu, harmonji, uciechy, macie przepych Krakowskiego Przedmieścia i wielkomiejską znaczność Marszałkowskiej, macie zawsze żywe, brutalne tętno życia w dzień i w nocy, macie wspaniałe teatry, przedstawienia i koncerty, stworzyliście rezerwuar, wsysający ludzi, talenty z całej Polski. A my?

Idziemy wczesną nocą brudniutką, obdrapaną ulicą Lwowa, melancholijnie oświetloną rzędem migocących świateł; siadujemy w kawiarni w sąsiedztwie tych samych radców i profesorów, rozliczających swój budżet na porcje małych czarnych i herbat z dodanym cukrem, a czas swój na porcje szachów i hojne dawki dysput polityczno-drożyźnianych. W niedzielę w południe idziemy na Korso na Akademicką, takie sobie leniwe, powolne korso prowincjonalne z miłemi, bardzo często częściej, niż w Warszawie ładnemi panienkami (przebacz, o Pani!), zawodzącemi swojskim djalektem; zuchwałymi ludźmi w przedpotopowych nieraz vatermörderach i zabójczych bokobrodach, zabójczo eleganckich i morderczo pewnych, „ta popatrz się Ferdek, ta to Marysia!", w teatrach widujemy tych samych starych, życzliwych, skromnych bywalców, coraz bardziej obszarganych, z coraz większą trudnością utrzymujących się na powierzchni — a obok nich przypływ, królujących w pierwszorzędnych restauracjach, ale — rzecz dziwna — ta nowa publiczność, tak zaborcza, rozpierająca się, tratująca wszystko w Warszawie, tu wejść się stara w stare ramy demokratycznej poczciwości, rzeczywistej czy udanej bohemji, przystosowania się do tego, co było.



Tak jest: inne środowisko, inni ludzie.

Jadąc pociągiem z Warszawy do Lwowa, gdzieś może między Przeworskiem a Przemyślem, przebywamy demarkacyjną linję psychologiczną. Lublin i Rozwadów to przejścia, a Warszawiacy jadący z nami — to barwy kontrastowe.

Obywatel wsiadający w Warszawie w wielkiej czapie, z stylowym neceserem, stanie ci na nogę, nie przeprosi, najwyżej zamruczy coś niechętnie, posunie twój płaszcz i torebkę, i siądzie, trąciwszy cię łokciem. Radca, wsiadający w Przemyślu, uchyli czapki, zapyta trzy razy, czy miejsce wolne, zaproponuje posunięcie, bo „tak i Panu Dobrodziejowi i Pani Dobrodzice będzie wygodniej", zapyta Cię dokąd jedziesz, a ujrzawszy na kurytarzu znajomego inżyniera, podzieli się z nim miejscem ku widocznemu niezadowoleniu Warszawiaków.

Ten sam pan radca w kawiarni zapyta Cię: „Czy Kurjer wolny, ja Panu Dobrodziejowi zaraz odniosę lub służę inną gazetą", a Warszawiak kociemi krokami zajdzie Cię ztyłu, porwie gazetę z przed nosa — i ucieknie, nie mruknąwszy słowa.

W restauracji warszawskiej orgje likierów, wódek, zakąsek, rubensowsko-rabelaisowskie postacie gigantycznych paskarzy, we Lwowie cieniej, skromniej, a i ludzie bardziej jakoś demokratycznie, skromniej są pijani.

A więc u Ciebie, Pani, rwący nurt, u nas leniwsza struga. Lecz energji, odwagi, inicjatywy temu biedniejszemu i mniej pewnemu siebie Lwowianinowi starczyło i starczy czasem na całą Polskę — i za całą Polskę.

Może odstąpiłem od zasady, chwaląc własne gniazdo — choć nie siebie. W następnym liście obiecuję być bardziej krytycznym, ironicznym, szczegółowym, by przebłagać, o Pani, Twe warszawskie predylekcje. Choć przepraszam, bardzo przestałaś już być warszawską, stajesz się i lwowską, a więc każdemu oddasz sprawiedliwość i każdego dopuścisz do głosu.

Dość Ci czasu zabrałem, więc Cię, Pani, żegnam starogalicyjskiem i starolwowskiem: Całuję rączki Pani Dobrodzice.

Padam do nóg!

J. Ł.

FRANCUSKA REVUE W WARSZAWIE

W ubiegłym tygodniu odegrana została u hrabiego *Adama Zamojskiego* arcydowcipna revu'etka w języku francuskim, napisana na temat rozmaitych aktualności Warszawy. W revuetce tej, w tonie lekko ironicznym a nad wyraz zabawnym, autor, osobistość dobrze znana zresztą w Warszawie, uradował zgromadzonych, biorąc asumpt z kryzysu mieszkaniowego, licznych konferencyj dyplomatycznych, pokaźnej tuszy artystek warszawskiej opery, a wreszcie z kontredansa, który w wielce komicznej parodji został odtworzony znakomicie.

Trudność wszakże odegrania tej revuetki polegała na tem żeby znaleść artystki, które zgodziłyby się, i to w czasie nader krótkim, nauczyć się ról, oraz kupletów po francusku.



MARJA SOLANGE ACHARD WIENIAWSKA

Dużo z tem było kłopotu. Bo jakże tu przekonać ładną i miłą artystkę, że nietylko jest czarująca, ale że ponadto ma bardzo ładny francuski akcent, i przytem coś, coś... de trés parisien.

„Eh, pochlebca z pana, przecież ja mówię, jak... (nie, nie to co pan myśli) ale „comme un Basque espagnol".

No, no spróbujmy, może tak coś z „Phiphi", z „Dédé" „Ta bouche".

— Ach, przepraszam!

— To ja panią przepraszam, wymieniłem tylko tytuł ostatniej operetki.

Tak więc udało nam się pozyskać dwie artystki, zaszczytnie znane ze sceny warszawskiej, panią Zarzycką i panią Leszczyńską, które z panią Solange Achard Wieniawską i autorem revue stanowiły mały, a tak ochoczy zespół.

I doprawdy panie Zarzycka i Leszczyńska nietylko że prześlicznie wyglądały w sukniach balowych Zmigrydera, ale grały tak swobodnie, wykazały tak subtelne odczucie tego umiaru w komizmie, który jest jedną z cech francuskich, że aż dyrektor Szyfman, który był na sali, oniemiał, a gdy odzyskał mowę powiedział:

„Otwieram czwarty teatr, teatr francuski, z moją trupą. Poco zresztą mam bogacić tłum aczów, Boy i tak już się upasł; będziemy grać „Les vignes du Seigneur" w oryginale.

ROQUIGNY



JANINA ZARZYCKA



ALEKSANDRA LESZCZYŃSKA

ZAGADNIENIA FIZJOGNOMIKI

Wielcy obserwatorzy fizjognomji ludzkiej przyczynili się niezmiernie do wykrycia pewnych zasadniczych rysów, powiedzmy... cech, służących do rozsegregowania pryncypalnych zjawisk, powtarzających się nieodmiennie we wszystkich porach roku.

Zjawiska te na wspom. wyż t. zw. fizyognomji, których nieomylność stwierdzono przez najnowsze doświadczenia mas, pomiary antropometryczne i skutki nie dające wątpliwości, zostały zsumowane w dziesięciu zasadniczych typach, będących w obiegu.



Fig A

1 PAN

Rumiana mleczna twarz, złote kędziory, błękitne oczy, harmonja, wdzięk przewyższający imaginację. Jasne promyki posępnego życia. Fig. A.



Fig. B

2 PAN

Blada twarz, czarne włosy i oczy hiszpańskie, usta purpurowe, rysy wyraźne, ręce świetnie wykończone, nawet w najniższej sferze. Fig. B.



Fig. C

3 PAN

Pan o zaklęsłym nosie, oczy szarobronzowe, ręce kościstokwadratowe, całość bezbarwna (chrostki) wszystko jakby kurzem wieków przysypane. Fig. C.



Fig. D

4 PAN (a la Murillo)

Śniada twarz bez rumieńca, usta fiołkowo-puchowe, czarna puszysta czupryna, porost włosów bardzo silny. Uśmiech niezwykle przyjemny, całość koloraturowa, głos tenorowy. Fig. D.

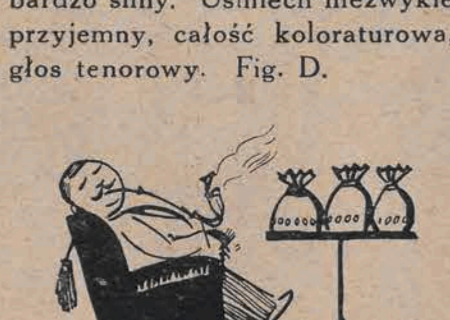


Fig. E

5 PAN

Oblicze różowo-czerwone, oczy jak bladoniebieskie koraliki. Ryża szczecina, wzrost tęgi. Ręce zgrubsza, całość dobrze ustawiona. Fig. E.

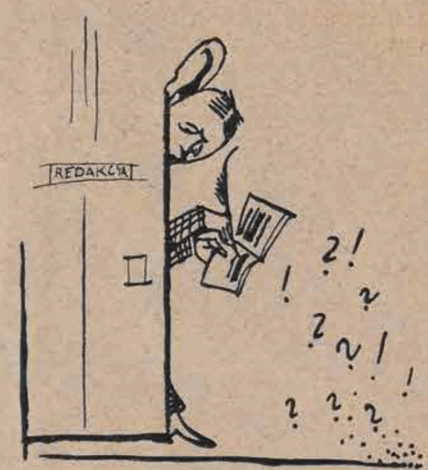


Fig. F

6 PAN

Brunet wymokły, w cwikierze, rozdziałek na gładkich włosach, wzrost drobny, chude nerwowe ręce, niepokój w ruchach (Hamlet). Fig. F.



Fig G

7 PAN

Zielone oczy jak pejzaż. Wysoki kościsty człowiek, ogromny nos orli, usta cienkie, włos czasami ostrzyżony, ubiór w lekkim nieładzie. Peleryna, pomięty kapelusz, za krótkie spodnie. Teka. Fig. G.

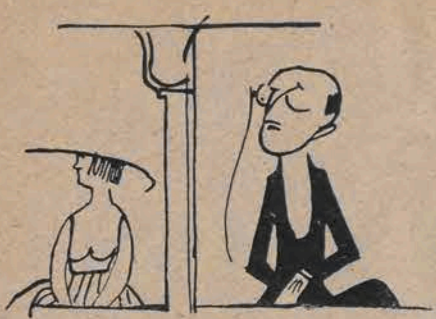


Fig. H

8 PAN

Włosy szpakowate, monokl. Fig. H.

9 PAN

Blondyn wysoki, stale nachylony naprzód. Twarz ogolona, miłe usta, niejasność lic, dolna warga z brodą cofnięta, przeważnie arystokraci, stąpa pelikanowo. Głos sopranowy. Fig. K.

10 PAN

Rudy, spotniały, z łysiną, lekkie zaambarasowanie, twarz kulista. Fig. R.

Poznawszy zagadnienia psyche już teoretycznie, w praktyce nie ulegniemy przykrym zawodom i, zgóry będąc przygotowani na rezultaty obcowania z danemi osobami, załatwiać będziemy swe afery apetycznie i miluchno.

Więc bliższe określenie charakteru podanych wyżej figur:

Fig. A—Apetycznie i miluchno,
Fig. B — Owocna pogadanka,
Fig. C — Szkoda czasu,
Fig. D — Ach owszem,
Fig. E — Smaruje, ten jedzie,
Fig. F — Nul, nul, nul,
Fig. G — Nie budzić demonów (lepiej nie),
Fig. H — Ustępstwa, zgoda na wszystko, 3 po 3,



Fig. R



Fig. K

Fig. K—Dużo teorji mało praktyki,
Fig. R — Co z woza spadło to i przepadło.

Zakończenie

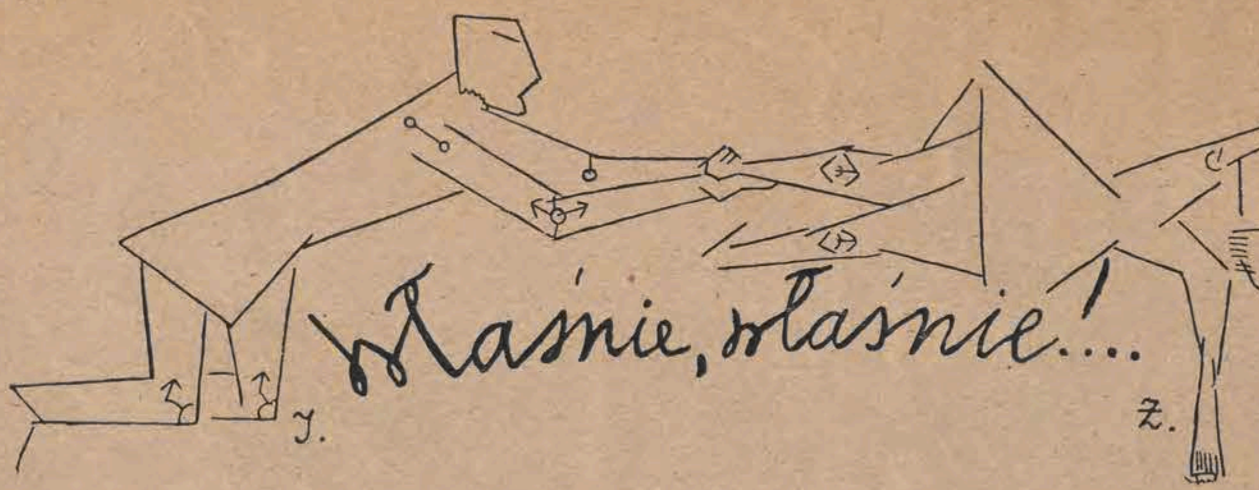
Szersz la fam — mówi przysłowie starożytnych fenicjan, lecz ona — kobieta! ta salamandra pokoleń, czego ma szukać, spoglądając w oblicze ukochanego.

Duszy czy pieniędzy... Niechaj jej milczące pragnienia ułatwi ten gwiazdozbiór sympatyczny.

Z. STRYJEŃSKA

W. WĄSOWICZ DRZEWORYT





literatura

WIEDZA RADOSNA

Przeżyliśmy w ostatnich czasach tyle przewrotów krwawych i okrutnych, że aż serce rośnie na widok rewolucji cichej, skromnej chociaż gwałtownej, niegrzecznej i radykalnej. Chodzi — ni mniej ni więcej — tylko o zdetronizowanie pewnego tyrana, który nam lata szkolne zatruwał, o świetnie zorganizowany spisek przeciwko wszechpotężnemu dotąd Pedantowi Jedynemu. Zmobilizowano — w piśmiennictwach zagranicznych — najtęższe pióra, powołano do służby najdzielniejszych poetów, artystów, i wyruszono na walną wyprawę w kraju, gdzie srożył się dotychczas w otoczeniu podręczników szkolnych nudny belfer, suchy kompilator, gdzie mózgi ludzkie zagważdżał dufny w siebie pedagog, fachowiec, specjalista. Sygnał do powstania dał — jak zwykle — jeden z najmilszych, najciekawszych fantastów, H. G. Wells, i napisał świetną książkę p. t. „Krótka historja powszechna". Rzecz roi się od dat chronologicznych, map, tablic — a jednak brzmi jak piękna, zajmująca opowieść, której bohaterem jest człowiek, a treścią — jego dzieje na tym globie. Za Wellsem runęła ciżba ludzi przez wyłom do portów, których nikt jeszcze stopą uskrzydloną dotknąć się nie ośmielił. Młody liryk, ekspresjonista, Klabund pisze „Historję literatury w ciągu godziny", humorysta, Aleksander Moszkowski, wydaje — książkę o Sokratesie! Walka wre na całej linji i niema już dzisiaj wątpliwości, że będzie zwycięska. Ludzie dochodzą powoli do wniosku, że poeta mówi bardzo dobrze o sprawach naukowych i że wykład — byle tylko nie był nudny — może sobie nawet być tu i owdzie nieścisły i mniej obciążony faktami i datami. Czyż to doprawdy jest aż tak szalenie konieczne — wiedzieć kto napisał „Marję Malczewskiego" i kiedy panował Pypin Przykrótki? — W czasie mojej działalności nauczycielskiej — mawiał słynny satyryk duński, Gustaw Wied, — starałem się głównie nie o to, żeby moich pupilów czegoś nauczyć, tylko o to, żeby na lekcji było wesoło. — Miał doprawdy trochę racji...

KŁOPOTY GENJUSZA

W ostatnich czasach bardzo się niepowodzi jednemu z największych w dziejach i literaturze świata — Wiljamowi Szekspirowi. Nietylko — jak to z żalem stwierdzić należy — naraził sobie niejednego naszego krytyka, ale co gorsza we Francji, w Anglji, w Niemczech powstają, jak grzyby po deszczu, ludzie, którzy go uważają poprostu — za szantażystę. P. Abel Lefranc, profesor literatury w Collége de France, zebrał w dużem, dwutomowem dziele wszystkie oskarżenia („Sous de masque de W. Shakespeare") i dowodzi tonem prokuratora, że skromny aktorzyna prowincjonalny nie mógł był napisać „Hamleta", którego autorem jest stanowczo Lord Derby. Trudno tu skreślić wszystkie argumenty uczonego badacza, ale jeden z nich zasługuje na uwagę. W dziełach Szekspira — mówi p. Lefranc — poza genjuszem pisarskim zastanawia i oszałamia ogrom *wiedzy*, jaką powiadał ten człowiek jedyny. Znał świetnie mitologję grecką, historję starożytną, literaturę, języki obce, obyczaje i charaktery ludzi z różnych epok i z krajów dalekich, znał przyrodę lepiej od zawodowych botaników, filozofję — lepiej od zawodowych filozofów, miał cześć dla nauki („Hamlet") i doprawdy imponujące wykształcenie wszechstronne...

To też — przeszło trzy wieki dzielą nas od tego dramaturga. Gdyby dziś żył i pisał jak nasi dostawcy teatralni — nie mielibyśmy z nim kłopotu. Byłby może mniej genjalny, ale napewno nie *za mądry*...

CHRYZPE

„Książki Ciekawe" wydały słynną powieść F. Herczega z cyklu „Gyurkoviscovie" p. t. „Bliźnięta", której od lat dwudziestu kilku brak na półkach księgarskich.

Jest to małe arcydzieło humoru, pełne prześlicznych, prawdziwie młodzieńczych kolorów, obraz z życia najmilszych pod słońcem urwisów. Temperament skrzy się w ich awanturach i miłostkach. Wielka znajomość psychologji ludzkiej czyni bohaterów tej powieści bliskimi, kochanymi i zrozumiałymi dla wszystkich.

Prócz „Listów". Makuszyńskiego niema w „Książkach Ciekawych" utworu równie wesołego i pogodnego.

Najbliższą nowością w tem ruchliwem wydawnictwie będzie oczekiwana oddawna książka Adolfa Nowaczyńskiego p. t. „Sen srebrny Salomei Kon" następnie zaś ukaże się tu piękna powieść Wacława Rogowicza p. t. „Samson".

Henryk Korab-Kucharski opisał wrażenia z podróży naokoło Rosji Sowieckiej, dokąd pojechał na kurację odtłuszczającą. Wrócił zgoła na okrągłości swej figury niezmieniony. Książkę swoją pod tytułem R. S. F. S. R. sprzedał firmie Gebethnera i Wolffa Warszawa — Kraków — Lublin — Łódź — Poznań — Wilno — Zakopane.

Kucharskiego książkę przeczytać, jak chleb z masłem zjeść!

Żyznowskiego Jana „Krwawy Strzęp" (Nakład Gebethnera i Wolffa) idzie jak woda.

Prof. Antoni Ferdynand Ossendowski przejechał sobie konno przez całą Azję centralną, czyli po polsku środkową. Tubylcy wciągali go w niesłychane awantury azjatyckie. Z tych wszystkich niezmiernie ciekawych perypetyj i galimatjasów wyszedł prof. Ossendowski cało. Jako taki napisał swoje bardzo ciekawe wspomnienia, które wydał Gebethner i Wolff, całość w żółtą okładkę opatrzywszy.

Ferdynanda Goetlha powieść „Kar-Chat" należy do najciekawszych utworów beletrystycznych doby ostatniej. (Nakład Gebethnera i Wolffa).

Skromnie nazwany biuletynem teatralno-muzycznym, dwutygodnik ten, wychodzący pod redakcją Cezarego Jellenty, daje pełnię obrazu naszego życia teatralno-muzycznego.

Jest to pismo nawskroś indywidualne; posiada swój ton i jednolitość frontu wobec wszystkiego, co trąci tandetą albo handlem w świątyni. Zauważa on, jak trafnie ktoś określił, „to, co najważniejsze" — zjawiska, fakty, dzieła najistotniejsze, ośmiesza i krytykuje to, co jest grzybem w gmachu artyzmu. Słowem: przeciwstawia się.

„Biały Paw" skrzy się dowcipem, ciętością i ironją. Jest przytem olimpijsko spokojny, uśmiechnięty, nie obraża nikogo, choć na wielu koryfeuszach, gwiazdach i uszczęśliwiaczach sztuki suchej nitki nie zostawia.

Z. B.

Potrójny zeszyt „Sceny Polskiej" za pierwszy kwartał r. b. przedstawia się rzeczywiście imponująco. Bogactwo, obfitość i różnorodność materjału potęguje jeszcze wysoki poziom, w którym utrzymywano cały szereg artykułów, zwłaszcza wspaniały szkic Jana Nepomucena Millera o „Teatralizacji pracy" świadczy o wybitnej znajomości rzeczy autora, zaś recenzje Adama Zagórskiego raz jeszcze potwierdzają, że mniej może błyskotliwy od innych, umie jednak ten wnikliwy krytyk ocenić





Fot. Brzozowski

„TEATR MAŁY" MARJA BRYDZIŃSKA „PRAWDA W WINIE"

Suknia wieczorowa z zielonej fulgurante *Suknia z ponsowego crêpe de chine'u przybrana błękitną organdiną*

(wykonano w pracowni G. Żmigrydera)

każdą sztukę, o wiele trafniej, a co najważniejsze bezstronniej, niż jego warszawscy koledzy.

Doskonale opracowany dział informacyj zagranicznych i starannie prowadzony dział urzędowy, udatnie dopełniają całości, to też sąd o redaktorze Orliczu musi być jak najpochlebniejszy. Słabszy jest dział kinematograficzny, ale to ostatecznie pismu teatralnemu można wybaczyć.

IŃL

Nader efektowna złocisto-granatowa okładka Stefana Norblina odrazu przychylnie usposabia czytelnika do Nr. 16 „Bluszczu".

Tenże bardzo utalentowany i subtelnie wytworny artysta ozdobił swemi rysunkami resztę numeru, który temu głównie zawdzięcza swój powab. Poza szatą zewnętrzną bowiem, trudno właściwie w ostatnim zeszycie znaleść coś interesującego. Owszem, zresztą mały *essay:* „Wiosna", napisany przez autora, ukrywającego się pod inicjałami St. K., z dużem poczuciem smaku artystycznego. Ten owiany szczerym sentymentem poetyckim drobiazg oraz nowela Wandy Miłaszewskiej oto i wszystko. Ale już dla samego Norblina warto „Bluszcz" obejrzeć.

L.

teatr

Pierwsza scena polska obchodziła uroczystość trzydziestoletniej działalności dramatycznej jednego z najświetniejszych swoich artystów, p. Teodora Rolanda. Prawdziwie młodego jubilata, młodego nietylko duchowo, ale i fizycznie, młodego postacią, ruchami, dźwięcznością głosu, zasypano wieńcami, darami i mnóstwem serdecznych przemówień.

Śród dramatystów polskich bodaj jeden tylko Roland posiada patos naturalnie kipiący. Inni artyści *robią* patos (lepiej, lub gorzej), ich patos jest zimny, chciałbym nieomal powiedzieć: dęty. Patos Rolanda przypomina owe źródła, które tryskają z ziemi jako wrzątek. Patos Rolanda żyje; patos większości jego kolegów jest... umówionym ceremoniałem deklamatorskim. Niedość wiadomo za rampą, że patos przestaje być sobą, gdy nie ma wysokiej temperatury. Ochłodzona para przestaje być parą, zaczyna być wodą; a poniżej zera woda przestaje być sobą, zaczyna być lodem. Para porusza motory, dźwiga olbrzymie pociągi, ale zamieniona w lód nie poruszy motoru lokomotywy. Tak samo jest z patosem. Gorący, wrzący, Rolandowy, porywa słuchacza; chłodny nikogo nie poruszy.

Związaną z tym wrodzonym poczuciem patosu, Rolanda talent posiada drugą niezmiernie rzadką, prawie unikatową u nas, cechę: poczucie tego, co Francuzi nazywają *panache.* Po polsku tłomaczy się to *kitą.* Kita na chełmie. Jest pewien sposób traktowania życia, który to sposób nasi sarmaccy ojcowie określali wyrazem: *z fantazją.* To właśnie po francusku zowie się *panache.* „Mieć fantazję" według staropolskiego słownika zgoła nie oznacza mieć kaprysy, ale oznacza pewną, po rycersku junaczą, postawę psychiczną. Żyć z fantazją znaczy nosić pięknie powiewającą kitę na każdym swym uczynku i na każdem słowie. Umie tę kitę pokazać nam na scenie Roland.

Oto dwie samorodne, oryginalne właściwości Rolandowego talentu, wyodrębniające go wybitnie w dużem i bogatem towarzystwie artystycznem pierwszej sceny polskiej. A pozatem skala tego niepospolitego talentu jest bardzo duża.

Środowisko ostatniej sztuki pp. de Flersa i de Croissette'a pt. „Prawda w winie" to półświatek ożeniony z półarystokracją. Gdy takie dwa półświatki złożyć razem, otrzymuje się w wyniku świat całkowity, w którym panuje klimat rozkosznego, bo komicznego, snobizmu. Każdy półświatek posiada swój półhonor, nawet wygórowany

KORYFEUSZE TEATRU

III *Rys. Edwarda Głowackiego* *IV*



MIECZYSŁAWA ĆWIKLIŃSKA



WŁADYSŁAW GRABOWSKI

półhonor, a więc swoją drażliwość i obraźliwoś', i pnie się wyżej do zaokrąglenia się w świat całkowity. Matka dwóch córek, zawdzięczających przyjście swoje w kłopot doczesności dwum nieformalnym ojcom, nazywa się w ostatniej sztuce de Flersa matką morganatyczną, opuszczoną kolejno przez dwu morganatycznych małżonków. Obecnie ma morganatycznego zięcia i marzy o legalnym mężu dla swej drugiej córki. Pani Bourgeon jest ambitna i nieustannie myśli tylko o jednem: o wyniesieniu swej rodziny. Ten szczyt, na który mama Bourgeon pragnie wynieść przynajmniej jedną ze swoich córek, nazywa się legalność. „Żeby choć Iwona miała męża niemorganatycznym sposobem!" I mama Bourgeon, kobieta w pięknym rozkwicie drugiej młodości, robi wszystko, co może, dla godności rodowej Bourgeon'ów, zapominając nawet o przyrodzonem prawie do osobistego szczęścia. Więc przedewszystkiem stale docina swemu morganatycznemu zięciowi, hrabiemu z łaski świętopiętrza, że przecież mógłby się ożenić z jej córką, bowiem otrzymał ją prawie niewinną, a sam cóż reprezentuje?

Dziwne są drogi człowieczych marszów przez życie. Z przenikliwym dowcipem p. de Flers pokazuje nam w trzecim akcie „*Prawdy w winie*", jak to grzech bywa nagradzany sowicie w momencie gdy zostaje zdemaskowany. Byle był wymowny, byle się siebie zapierał w żywe oczy.

Cała komedja paryskich pisarzów to popis świetnemi spostrzeżeniami, podawanemi na francuskich resorach niemal molierowskiego poczucia komizmu. Publiczność jest rozhuśtana miłą miękkością tych resorów i z zawrotną szybkością odbiera dowcip po dowcipie, jakby jechała przedziwną szosą śmiechu.

Jedną z radości premjerowych „Prawdy w winie" było skonstantowanie faktu, zanadto, niestety, u nas rzadkiego, że oto scenie polskiej przybyła utalentowana aktorka. P. Ola Leszczyńska była dotąd „obiecującą na przyszłość, nie wiele dającą w teraźniejszości". W „Prawdzie w winie" po raz pierwszy wypłaciła się gotówką, niezwłocznie, i świetnie. Wstępny okres probowania sił jak gdyby się skończył. P. Leszczyńska zaczyna dawać wartości artystyczne. Jej Iwona posiada wdzięczną prostotę, śliczne ożywienie i naturalność na całej skali rozmaitych uczuć. Odtąd p. Leszczyńska będzie poważnie brana w rachubę przy obsadzaniu sztuk przez autorów i reżyserów, a następny sezon niewątpliwie pozwoli tej młodziutkiej artystce o oryginalnej urodzie czarownie rozkwitnąć i wkrótce stać się nawet modną.

Starszą siostrę Iwony, Gizellę, gra p. Brydzińska. Ile razy p. Brydzińska interpretuje kobietę, tyle razy jej się to nie udaje. Co innego, kiedy reżyserja powierza jej rolę dziewczynki. Dziewczynkę, dorastającą panienkę, p. Brydzińska gra rozkosznie, dzięki t. zw warunkom zewnętrznym. Lecz dzięki tym samym „nieszczęsnym" warunkom, nigdy ta pełna wdzięku istota nie zostanie na scenie kobietą. I ona i dyrekcja muszą sobie to raz na zawsze wyperswadować. Zresztą, p. Brydzińska z pewnością się tem nie martwi. Tyle jej koleżanek może grywać role tylko dorosłych kobiet!

Pp. de Flers i Croissette w pozostałych rolach ich ostatniej komedji otrzymali na scenie teatru Małego wykonawców tak lubianych w Warszawie, jak pp. Zarzycka, Czaplińska, Grabowski i Stanisławski.

Co to jest młody sportowiec angielski, w dowcipnej plastyce aktorskiej pokazuje nam p. Warnecki.

Dyr. Szyfman wziął pod swoje skrzydła teatr „Komedja" i w ciągu kilku dni z niezdarnej poczwarki przeistoczył go w rozkosznego motyla. Dotąd w „Komedji" bywały pustki, a nieliczni widzowie albo się tutaj nudzili, albo się złościli. Dyr. Szyfman zmienił ten stan rzeczy radykalnie. Od dnia inauguracji widownia jest co wieczór przepełniona i śmieje się najweselszym śmiechem. Gdy się zacznie śmiać podczas aktu, to jeszcze w antrakcie nie może się dośmiać do końca.

Widownię wzniesiono, loże rozseparowano wyższemi ścianami, pod publiczne stopy rzucono dywany, sufit ozdobiono lampjonami. Obecnie teatr „Komedja" wygląda jak bombonierka, przytulny jest, jak buduar, a dzięki scenie, na której jarzą się tak urodziwe klejnoty, jak pp. Mila Kamińska i Majdrowiczówna, i czarują swoim nieprzepartym wdziękiem tacy gentlemani salonowej pogody, jak pp. Fertner i Leszczyński, teatr ten stał się miejscem cowieczorowego zjazdu „całej wykwintnej Warszawy, mającej już polityki, drożyzny, giełdy, wyżej uszu. Tutaj na lekkiej komedji paryskiej p. Verneuila p t. „Musisz być moją", śmiejemy się „confortablement", czyli wygodnie i beztrosko. Patrząc na p. Leszczyńskiego, który (w tej bezobłocznej sztuce) żyje najzupełniej apolitycznie, z całkowitą nieświadomością na temat przesileń sejmowych, z kompletnem zapomnieniem terminu „paskarz", oddychamy lżej, niejako wakacyjnie, i zaczynamy wracać (w marzeniu, póki na scenie widno, a na widowni ciemno), zaczynamy wracać do przedwojennego pławienia się w życiu bardzo egoistycznie osobistem: kobieta, wino, śpiew. Lecz przedewszystkiem kobieta. Z lubością obserwujemy uroczą wierność p. Kamińskiej dla niewiernego mistrza Fertnera, ale nieco później niewierność tej powabnej małżonki wprawia nas w nieopisany zachwyt. Zwłaszcza, że jednocześnie konstatujemy fałszywość Hamletowskiej piosenki, jakoby musiał być ktoś nieszczęśliwy, aby kto inny mógł być szczęśliwy. W komedji p. Verneuila p. Fertner nie zaczyna być szczęśliwy. Życie roi się od paradoksów. Nie każdy mąż jest Otellem, nie każdy kochanek Hamletem i nie każda niewierna żona psuje sobie cerę wyrzutami sumienia. Kaskada srebrnego śmiechu to może najwłaściwszy

środek lokomocyjny poprzez doczesność w legendarny byt pośmiertny. W odrodzonym teatrze „Komedja" ten śmiech dźwięczy prześlicznie. Dlatego teatr „Komedja" jest dzisiaj najmodniejszym teatrem Warszawy.

Dwaj amerykańscy autorowie „Wielkiego Donżuana", pp. F. i F. Hatton, wprowadzili nas w tropikalną strefę nerwów, zwaną kulisami operowemi. Życie zakulisowe każdego teatru, lecz opery szczególniej, przypomina (temu co to pamięta) wulkaniczny chaos. Z tego chaosu po wielu erupcjach, piorunach, nawałnicach, rodzi się piękny świat, zwany sceną. Publiczność, znająca tylko scenę, nie ma pojęcia o skomplikowanej grze namiętności zakulisowych, o przepaściach, śród jakich błądzą tam wielkie i małe talenty, ogromne i mniejsze ambicje, o trudach nadludzkich, jakie tam trzeba ponosić z miłości dla sztuki i w pożądaniu sławy. Gorzkich doznaje się tam zgryzot i ostrych upojeń, i nie jest się tam pewnym niczego i chodzi się nieustannie po ruchomym gruncie, ziejącym niebezpieczeństwami. Można w tym świecie królować, ale króluje się w nim, walcząc wciąż z atakami pretendentów do korony.

Rolę takiego króla gra w „Wielkim Don Juanie" Junosza-Stępowski. Akt pierwszy to król barytonów w pełni panowania. Akt drugi — detronizacja. Akt trzeci — przyjemności życia prywatnego.

Bohater p. Junoszy jest gentlemanem w każdym calu. Jest to wytworny człowiek, rozpieszczony przez życie, przemiły egoista, w którym się kocha publiczność operowa obydwóch półkul, któremu zazdroszczą śpiewacy, ba! i śpiewaczki, słowem szczęśliwiec, jakich pod słońcem niewielu. I oto widzimy tego księcia z bajki w momencie, gdy traci swą bajkę. Jesteśmy świadkami jego katastrofy głosowej. P. Junosza-Stępowski gra tę scenę po mistrzowsku. W naszej przytomności wielki śpiewak chrypnie i wiemy, że traci głos na zawsze. Zastępuje go natychmiast młody baryton o głosie fenomenalnym. P. Junosza-Stępowski cały proces chrypnięcia i już do końca aktu, gdy publiczność aklamuje nowego króla barytonów, interpretuje bez śladu sentymentalizmu, z imponującą prostotą, a przez to z siłą, która wywiera potężne wrażenie. Ochrypł, więc mówi cicho. Ale nam się zdaje, że krzyczy do nas wielki dramat. Słuchamy tego moralnego krzyku z zapartym oddechem.

Sztukę świetnie wyreżyserował p. Borowski. Uroczy, migotliwy, arcyrozmaity chaos życia zakulisowego tworzyli pp. Gromnicka, Orwid, Broniszówna, Dunin-Osmólska, Muclingrowa, Gielniewski, Mańkowski, Gawlikowski, Zelwerowicz, Rosłan, Zieliński i p. Łuszczewski, który dowiódł, że jeżeli chce, to ma temperament autentycznego mężczyzny.

WACŁAW GRUBIŃSKI

„Zemsta Nietoperza" z p. Wiktorją Kawecką, echo dawnych, najświetniejszych czasów operetki. Zdaje się też, że „Teatr Nowy" będzie tym czarodziejem, co je wskrzesi.

Pani Kawecka nie była całkiem taka sama jak ongi, była czemś *więcej*, bo przecież czas jest wiadomym od najdawniejszych czasów impertynentem i nietyle ujmuje, ile dodaje. Ale jej śpiew był pierwszorzędny, jest to — jak już nieraz mówiłem — śpiew sopranu operowego z dodatkiem tylko przymilności operetkowej. Tak zaśpiewać czardasza, jak p. Kawecka, mało kto potrafi. Była ponadto wytworną, bardzo elegancką, wspaniałą wiedenką i żaden Zmigryder z nad Dunaju nie utrąciłby lepiej żądła złośliwości czasu, niż Zmigryder z nad Wisły. Pozatem wzruszający był Morozowicz w swojej klasycznej roli dozorcy więzienia. Był poprostu znakomity niezrównany, odmłodzony, zdaleka pachniał przepalanką.



Teatr Letni „R. H. Inżynier" B. Winawera Fot. J. Malarski

DULĘBIANKA I WĘGRZYN

P. Sokołowska w roli pokojówki nie mogła stać na wyżynie danych tradycyj „Zemsty". Partja to, która wymaga finezji, dowcipu i tego wszystkiego, czego p. Sokołowska w tej chwili jeszcze niema. Ta nadzwyczajna subretka Straussowska mogłaby wypaść dobrze tylko w interpretacji takiej wodewilistki, jak Kazimiera Niewiarowska. Dopiero z nią arcydzieło „Króla walców" godnie obchodzić może swój półwiekowy jubileusz. No i rzecz prosta z Redą i Szczawińskim. *C. J.*

Co się nagle stało „Nowościom"? Specjalne przedstawienie pantomin i baletów? Czyż w teatrze, poświęconym operetce i uświetnianej bardzo często takiem nazwiskiem na afiszu, jak Lucyna Messal — może mieć powodzenie pantomina? Jest to rodzaj bardzo trudny, i zwykły, codzienny zespół teatru „Nowości" ta szara masa, na której wykwita niekiedy bujny kwiat primadonny, nie może mu podołać, nawet gdy z pomocą przyjdzie fragment „Reduty", w postaci p. Zdzitowieckiego. Pisali pantominy i Debussy i Hugo Hofmannsthal, ale oni, tak jak i autor „Welonu", Arthur Snitzler, wymagają wyższego gatunku gry.

Półtorej godziny minęło, zanim widownia, zmęczona oczekiwaniem czegoś wyraźnego, wyrazistego, uchwytnego i zrozumiałego, dopiero przed samym finałem „Welonu Pierrota", zorjentowała się, że były w tej premierze -- nie absolutnie świeżej, gdyż ongi, w teatrze Bagateli jużeśmy ją za czasów ś. p. Reichmana widzieli — dwie dobre rzeczy: muzyka Dohnanyjego, mocna, obfitująca w pomysły, aczkolwiek i w reminiscencje z Wagnera i Czajkowskiego i t.p., oraz taniec p. Pawliszczewowej. Mógłby być trzecim doskonałym atutem kapelmistrz p. Górzyński, który doskonale daje sobie radę z muzyką o bardziej symfonicznym charakterze, gdyby nie był i nie chciał być zanadto na wierzchu i na scenie. Tak zdolny dyrygent powinien być oszczędniejszy w ruchach i w reagowaniu na wywoływania.

Wszystko zaś to razem czyniło wrażenie jednego wielkiego tła dla solowego występu p. Rity Sacchetto w pantominie — balecie „Kokaina". Tutaj znowu podziwiać można było dwie rzeczy: że p. Parnell zgadza się być tylko widzem biernym wizji i dziecięcych straszydeł, gdy jest tak znakomitym tancerzem, oraz że p. Rita Sacchetto nie chce czy też nie może wyjść z zaklętego koła tańca z kastanietami i w duchu Carmeny. Motywy malarskie p. Augusta Zamojskiego nie należą do najciekawszych w jego dorobku artystycznym.

Oklasków burzliwych na obu sztukach nie brakowało, ale z serca życzymy „Nowościom" mniej hałaśliwych, ale zato więcej szczerych i samorzutnych.

Teatr „Nowości" przypomniał dawną i dobrze znaną operetkę Eyslera „Wróg kobiet".

Pisać o nieprzyjacielu pań w „Pani" byłoby nieprzyzwoitością—ale na szczęście jest on podobny do wszystkich innych wrogów kobiet: więcej zdolny do kapitulacji niż do prowadzenia wojny.

Bohaterem był p. Mierzejewski, który grał jak przystało na byłego aktora, no a śpiewał jak przystało na tenora, który w pewnej właściwej chwili zapomniał rozwinąć swój głos.

Bohaterką była p. Bielska, która ma niewątpliwy talent ubierania się niby modnego a w gruncie rzeczy staroświeckiego. Tak nie może kostjumować się gwiazda.

Operetka wogóle jest pojęciem astronomicznem — musi się łączyć z jakąś świetną gwiazdą. W tym wypadku takiej astronomji wcale niema i dlatego nie wiem, czy p. Domosławski, utalentowany, sprężysty dzielny dyrektor i reżyser nie pożałuje swego eksperymentu.

P. Korabianka jest bardzo miła i wdzięczna — ale to dopiero gwiazdka z choinki.

Śród tańców dawnego typu — walców i polek, tych poczciwych polek sędziwych— występ pp. Pawliszczewej i Parnella jaśniał jak meteor. *C. J.*

Program inauguracyjny „Niebieskiego Młyna" należał do niezmiernie interesujących. Szczególnie jeżeli chodzi o dobór programu: sprytna jednoaktówka Bernarda Shaw'a, oraz groteska prawie smutna, Jewreinowa, — stanowiły poniekąd teatralną atrakcję, wyreżyserowaną przez J. Brodzkiego. Jeżeli zaś nawet, w „nonsensowym" akcie Shaw'a szwankowało wykonanie aktorskie (Bukowski), to znakomite, fascynujące wnętrze Lechowskiego, oraz świetna kreacja Sulimy nadały tej „prawie satyrze" odpowiedni koloryt i tempo. Nader współczesna, interesująca

inscenizacja przypominała jednak natrętnie znakomite przedstawienie „Pragmatystów" Witkiewicza w Elsynorze, szczególniej, gdy chodziło o gest i mimikę aktorów. — „Za kulisami duszy" jest sztuczką tak niezwykłą w pomyśle, tak nieoczekiwaną i efektowną w zakończeniu, że lepsze czy gorsze wykonanie nie zdołałoby tego wrażenia — jakie sztuka wywiera — osłabić. Naturalnie, że Bukojemska była trywialna, — Biegański bez wyrazu, ale Znicz, Buczyńska i pozostali — tworzyli zespół świetny, szczególnie Buczyńska, aktorka doprawdy pierwszorzędna, najprostszemi środkami w krótkiej scence zdobyła się na maximum wyrazu i uczucia. Wnętrze, inscenizacja, światła — bez zarzutu, to znaczy najwierniej illustrujące teatralny proces twórczy.

Pomiędzy temi dwoma aktami — śpiewały dwie panie, Clara Bloomfield i Solange Achard, — nadto Parnell z Pawliszczewą odtańczyli i odegrali przepyszną pantominę Anatola Sterna.

„Wierność mimowolna" tak się nazywa pantomina Sterna. Pomysł — pozornie banalny, a w gruncie rzeczy, dzięki świetnym i nieoczekiwanym skrótom — oryginalny i doprawdy poetyczny. Ten Pierrot, który jedzie „dziecinnym pociągiem" w daleką podróż, ten zegar „ze snów", który wybija godziny, króciutkie, jak minuty, ten „tekturowy" domeczek Kolombiny, gdzie spotyka się z „wiecznym" Arlekinem — to wszystko ma w sobie urok teatru del'arte, cyrków wędrownych, powiastek staro-francuskich.

Tak, w tej naprzemian swawolnej i smętnej i humorystycznej arlekinadzie znać przedewszystkiem — dotknięcie subtelnego i pomysłowego poety.

P. Miller, grający (doskonale zresztą) rolę Pierrota, położył nacisk głównie na poetyczny czar arlekinady, Paruell zaś i Pawliszczewa wydobyli z niej momenty humorystyczne, odtwarzając przytem olśniewająco szereg zupełnie odrębnych tańców charakterystycznych. Nie mogę nie wspomnieć o muzyce, wobec braku u nas muzyki lekkiej, humorystycznej, oryginalnej. Ilustracje do arlekinady Anatola Sterna wyróżniają się pomysłowością i „lilipucim" wdziękiem.

(S. Bi)

muzyka

Ze wszystkich wznowionych ostatniemi czasy oper — pił, najsympatyczniej jest zazwyczaj przyjmowana „Dama Pikowa", Czajkowskiego.

Największą jej zaletą jest tytuł ulubiony i popularny. W związku z nim powtarzający się ciągle aż do kołowacizny refren „Trzy karty, trzy karty" daje słuchaczom złudzenie, że siedzą przy zielonym stoliku, a nie przed wspaniałą salą dworską, w której połowa lampek w wielkim żyrandolu zapomniała palić się i rozjaśnić ciemności.

Drugą zaletą jest bardzo niemądra treść. Co było dobre lub ciekawe w noweli Puszkina, to wypadło naciąganie i sztucznie i nieprawdopodobnie w operze. Zaco i dlaczego ten biedny Herman, nieco przypominający Hofmana Offenbachowskiego, tak bardzo cierpi — nie rozumiemy. Kocha się szaleje, ciska ukochaną o ziemię, przyprawia „Damę pikową" — o nagłą śmierć i t. p.

Jest tu dużo mistyzmu Hofmanowskiego, ale więcej jeszcze — stanowczo za dużo, obrazów i za wiele nonsensów.

Trzecią wreszcie przewagą „Damy pikowej" jest doskonała rzeczywiście i interesująca muzyka, która często wznosi się do szczytów dramatyczności. Kompozytor rosyjski jest w niej daleko większym, niż w przeliryzowanym „Eugeniuszu Onieginie".

Powiedziałbym (nie piszę całkowitego sprawozdania), że najwdzięczniejsze partje śpiewacze i aktorskie mają: p. Michalina Frenklówna i Ignacy Dygas. Ona jako stara arystokratka jest prawdziwie wielką damą i śpiewa swe francuskie wspomnienia dawnych lepszych czasów z niezwykłym smakiem i stylem, on — daje pełnię swego bogatego głosu i kunsztu scenicznego.

Panią Solange Achard, młodą francuską śpiewaczkę, mieliśmy sposobność słyszeć w Filharmonji i kilkakrotnie jako Nitouche w teatrze Nowości. Jest to artystka dobrze wspominana w Paryżu. Śpiewała tam z wielkiem powodzeniem „Manon" Masseneta, Małgorzatę we „Fauście" Gounoda i inne partje sopranowe. Dopisywało jej stale powodzenie w Nizzy, Monte Carlo i t. p.

Oryginalnej i niezwykłej urody, której nie odsłania należycie jej podobizna, (czytelnik znajdzie ją nieopodal) p. Solange Achard jest spowinowacona ponadto z sztuką bardzo, rozgłośną. Mąż jej, polak i warszawianin należy do znanej utalentowanej rodziny Wieniawskich, która wydała dyplomatów, muzyków i pisarzy. Dziad, akademik Amadeusz Achard, jest znanym powieściopisarzem. Przez matkę zaś spokrewniona jest z sławnym i wielkim protoplastą rodu kompozytorów operetkowych — Jakóbem Offenbachem.

Tak tedy gość teatralny i muzykalny Warszawy, najbardziej operetkowego miasta w świecie, przywiózł jej i na przyszłość błogosławieństwo, z którego oby się zrodziły równe „Pięknej Helenie" i „Orfeuszowi w Piekle", arcydzieła dowcipu muzycznego i głębokiej satyry.



NINA TARASOWA
koncertowała parokrotnie w Sali Konserwatorjum

Na pomnik Chopina urządzono w Filharmonji koncert, jak gdyby dla przypodobania się „Pani". Myślano nawet, że to właśnie „Pani" dała do niego pomysł. Grały bowiem same panie, same pianistki, w pokaźnej liczbie pięciu. Słowem — muzy.

Można było zauważyć ciekawe indywidualności i interesujące różnice. Pani Familjer - Hepnerowa i Rabcewicz - Poznańska miały jak zawsze palce stalowe *gautés de velours*. Pani Lucyna Robowska — pogodę, lekkość, elegancję, pani Róża Benzefowa niepokój wewnętrzny, trzymany na wodzy, siła woli i pracy. P. Rydygier-Badowska — już zmęczenie, które się wyraża więcej w sile uderzenia niż w świeżości tonu.

taniec

Teatr Wielki, zapłodniony przez p. L. M. Rogowskiego, znanego kompozytora, urodził balet „Bajkę".

W tej bajce najwięcej bajecznem jest to, że wystawienie jej kosztowało trzysta miljonów marek. Pozatem bajkowość polega na bogatej faunie i florze naszej opery, na tańczących pisklętach, muchomorach i innych grzybach, potworach i smokach z tektury, żyrafach o dwóch łbach i szyjach i t d. i t. d. Jest na co patrzeć i jest co podziwiać. Co prawda, ci, co widzieli balet w „Goplanie" albo „Narcyzie", już na nic nie patrzyli i nic nie podziwiali, no, ale to ich wina. Dlaczego poszli przedtem na „Goplanę", „Narcyza" i „Twardowskiego?"

Nie mogłem nic a nic zrozumieć, co robi w tej pantominie Królewicz, Trefniś, Baba Jaga i różne piękne tancerki z p. Haliną Szmolcówną na czele. I autor p. Rogowski też nie mógł zrozumieć. Więceśmy się z nim idealnie zgodzili.

Jeśli zaś zachodzi między nami jaki dysonans, to chyba tylko na temat taki: Czy wogóle należało wystawiać „Bajkę" i rujnować kasę Opery? I czy powtórzona nazajutrz na cześć marszałka Focha, nie poddała mu czasem tej niemiłej myśli, że Warszawa to jedno z najnudniejszych miast?

Podobno jednak pierwszy akt wprawił sławnego Wodza w zdumienie i zachwyt: oto mnóstwo dzieci i to małych, które tańczyły i wykonywały różne ewolucje. Ten akt jest naprawdę miły.

Naogół „Bajka" jest wystawą olbrzymich sztuk różnych materyj i kombinacyj kolorów. W tym duchu, więcej dekoratywno-konfekcyjnym, niż artystyczno-fantastycznym olśniewają swoich widzów wielkie Revue's w Paryżu, Berlinie i Wiedniu. Wyróżniają się pięknością stada kruków.

Co do muzyki, to oczywiście Rogowski, uczeń wzorów francuskich, nie mógł napisać nic banalnego ani trywialnego. Tematów większych i motywów wybitnych nie posiada, i Rimskij-Korsakow może się tej rywalizacji nie obawiać, ale włada dobrze paletą barw charakterystycznych. Jego orkiestra posiłkuje się przeważnie solowemi odzewkami instrumentów w duchu groteski i z zamiarem osiągnięcia przejrzystości stylu francuskiego. Pod koniec, w obrazie ostatnim, zdobywa się na orkiestrę pełniejszą i całkowitszą i wieńczy „Bajkę" finałem pięknym, energicznym i efektownym. Ale pozostaje faktem, że ta muzyka ilustruje treść, która jest wszelkiej treści pozbawiona.

Post scriptum. Za cenę „Bajki" można było wystawić trzy arcydzieła operowe.

Teatr Polski był w to południe tak przepełniony, jak gdyby dawano premjerę sztuki napisanej np. przez Andrejewa, Jewreinowa i de Curela — łącznie.

Tymczasem był to tylko popis szkoły gimnastyki rytmicznej, prowadzonej przez pp. Mieczyńską i Hulanicką. Widownia więc składała się z matek, ojców, sióstr, braci i przyjaciół i znajomych tych dziewczątek i panien, chłopczyków i kawalerów, którzy zdawali egzamin z muzykalności ilustrowanej ruchami.

Widok sceny był naprawdę ładny i niezwykły. Okolona girlandą ciał i ciałek, w czarnych kąpielowych kostjumikach, czyniła wrażenie wielkiej plaży, na której się bawią dzieci i pannice już dorosłe. Wszystko to sprawiało się pod względem dyscypliny muzycznej doskonale. Dzieci, a śród nich i drobne, z zupełną nieznajomością tremy i innych lęków, szły i biegały rytmicznie, dokładnie zachowując wartości nut i markując wyraziście podziały na takty, oznaczając synkopy i t. d. To znowu kombinowały dwa rytmy rękami i nogami. Potem łączyły się w grupy i kwadrygi i tańczyły kanony i fugi. Wreszcie uczennice dojrzalsze uplastyczniały muzyczne poematy w rodzaju „Aufschwung" Schumana. Oczywiście temat muzyczny bogactwem swej myśli i poezji zazwyczaj przerastał dobre intencje mistrzyń i wychowanic, ale zawsze świadczył wymownie o pracy systematycznej i celowej.

Nadchodzą ciekawe popisy innych tego rodzaju instytutów. Szkoła umuzykalnienia p. Wysockiej zapewne zademonstruje rzeczy ciekawe i dobre.

Możnaby jeszcze poddać się złudzeniu, że przyszłe pokolenie będzie muzykalniejsze, niż to dzisiejsze. Surowizna wobec elementarnych pojęć muzycznych może zaniknie.



Znakomita artystka p. Alina Grifícz-Mielewska, obecnie Grohmanowa, niezupełnie zerwała ze sceną, bo, jak wieść niesie, wystąpi w przyszłym sezonie w „Teatrze Polskim"

P. Adolfina Paszkowska miała w drugim dniu Zielonych Świątek szczęście. Prześliczna pogoda sprzyjała popisowi „tańców klasycznych i stylizowanych" w teatrze na wyspie w Łazienkach, a powtóre zaszczycili przedstawienie swą obecnością Pan Prezydent Rzeczypospolitej Wojciechowski z Małżonką, siedzący przed pysznym parapetem, uplecionym z świeżych bzów.

Interpretowano poematy muzyczne, między innemi Chopina i Griega. Były mniej lub więcej pomysłowe ich realizacje plastyczne. Wyrobienie taneczne i estetyczne pań i panien tańczących — wybitne. W oprawie ruin klasycznych teatru Stanisławowskiego, miały swój urok postacie w greckich tiunikach, tańczące lekko i z gracją. Stanowczo jednak najwięcej stylu i nastroju miały pląsy białych nimf, które zainaugurowały widowisko. Był to moment już prawie Böcklinowski

Wyróżniały się w zespole: sama kierowniczka szkoły oraz pp. Szymkiewiczówna, Gromska i Han-Grafczyńska.

Na tych wszystkich rywalizacjach — Łazienki jednak nic a nic nie straciły, owszem, słowiki i inne śpiewające ptactwo było nawet podniecone majowo i zawzięcie uzupełniało luki w orkiestrze, którą dyrygował p. Nawrot. C. J.

sztuka

Stowarzyszenie Art. Plastyków „Rytm" urządziło trzecią zkolei wystawę w Łazienkach. Obszerne sprawozdanie zamieścimy w następnym numerze naszego pisma. Obecnie już po zamknięciu „Pani" spieszymy zaznaczyć, że Rytyści, zresztą, jak i lat ubiegłych, wystąpili teraz z doborem prac, przewyższających znacznie poziom wystaw oglądanych w Warszawie.

W wystawie wzięli udział wszyscy członkowie stowarzyszeń, oraz zaproszeni goście: Widzimy obrazy: Borowskiego, Skoczylasa, Pruszkowskiego, Kuny, Rzeckiego, Ślendzińskiego, Gronowskiego, Pokrzywickiej, Niesiołowskiego, Wąsowicza, Porankiewicza, Zaruby, Zaka, Kramsztyka i Roguskiego.

W salonie Czesława Garlińskiego—wystawa bieżąca. Prócz obrazów artystów krakowskich, jak: Wyczółkowskiego, Fałata, Malczewskiego, Axentowicza i Hofmana wystawili lub nadesłali swe prace: Zawadowski, Pankiewicz, Mela Muter, Kocińński i in.

W Klubie Artystycznym—wystawa czarno-biała, jedna z najbardziej interesujących wystaw tego typu w roku bieżącym. Udział wzięli przeważnie członkowie Sekcji plastycznej: Butrymowicz, Wąsowicz, Zaruba, Witoszyński, Szymanowski, Kramsztyk i w. innych.

kino

Możemy w tej chwili spędzić parę godzin wzruszających. Mamy kilka dobrych filmów. Nie jest to, rozumie się, film „Gdy w sercach wre burza..." (Stylowy)— tasiemiec, mogący zachwycić tylko ludzi, pozwalających łatwo się uwieść anegdocie filmowej. Gdy w sercach i na morzu wre burza, a oswojona małpka panny Philipps gra główną rolę obok bohaterki tego filmu, gdy przez srebrną taśmę szybują krążowce, torpedowce, aero, hydroplany itp. hydry cywilizacji wieku, można być przenoszonym, że film, uciekający się do tych tanich sensacyj nie ma większych wartości artystycznych. „Gdy w sercach wre burza..." nuży i nie usprawiedliwia grą aktorską swojej nazwy.

Prawdziwa burza serc i wichr fotogeniczności porywa nas w innym obrazie, w „Jej pierwszej miłości". Griffith'a (Wodewil). Ani jednego hydroplanu, ani jednego sygnału radjo. Małe miasteczko prowincjonalne, gdzie między kamieniami trotuarów rośnie trawa i gdzie ludzie noszą śmieszne, staromodne ubrania. Tam, w nierealnej prostocie, w atmosferze, pełnej najczystszej bezpośredniości, wybucha wielka burza uczuć w sytuacjach niewymuszonych, w naiwnej fabule w genialnej grze Liljany Gisch Biblijna, niemal, prymitywność psychiki — to szczególna cecha, którą potrafi Griffith natchnąć swych aktorów. Film, w którym dobrze przysmażony kawał gęsiny jest jednym z głów-

nych powodów, dla których młody pastor zakochuje się w kochającej go skrycie Liljanie, jest nieledwie wzniosły. Bezpretensjonalne i niejowialne postawienie prozaicznych apetytów smakosza na poziomie miłości, jest jakimś heroicznym powrotem do zamierzchłego patosu Odysei, jest apoteozą naszych drobnych przywar, która udziela temu filmowi znamion nieśmiertelności. „Jej pierwsza miłość" jest przepojona tym sentymentem „ludzkiego", którego nikt poza amerykanami ukazać nie potrafi.

Liljana Gish... Czyżby pod jej słodką gwiazdą narodziła się również Fanny Ward, bohaterka „Forfaiture", wznowionego w „Trianonie" i po raz pierwszy wyświetlonego przez kino „Palace"? Trudno się oprzeć wrażeniu, że interpretacja wybuchów rozpaczy przez Liljanę stała się metodą i trwałym kanonem gry gwiazd amerykańskich. Constance Tolmadge, Maë March, Fanny Ward i szereg innych artystek filmowych są propagatorkami tej gry nelogicznej, wzruszającej zmiennością nieoczekiwanych efektów, emocjonującej w sposób nieprzewidziany. Gra ta zapisała się w naszej pamięci zgłoskami pełnemi stłumionych krzyków. Piękna kobieta była godną partnerką Hayanawy, niepokojącego japończyka, egzotycznego artysty o poruszeniach okrutnie syntetycznych, szorstkich, barbarzyńskich, człowieka o oczach oddychających aromatem dalekich mórz i niewidzianego nigdy przez nas słońca.

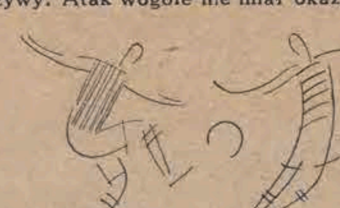
ANATOL STERN

Wiktor Biegański, znany reżyser filmowy, który w ostatnim roku wyświetlił tak wysoce artystyczne filmy polskie, jak: „Zazdrość", „Otchłań pokuty", a ostatnio „Bożyszcze", — przystępuje obecnie do realizacji szeregu nowych obrazów dla wytwórni jego imienia p. f. „Wictor Film." Będzie to niewątpliwie nowy etap w artystycznym rozwoju naszej sztuki kinowej

sport

W pierwszy i drugi dzień Wielkiejnocy z „Polonją" grała węgierska drużyna „Törekves", dziś jedna z najlepszych po zwycięskich swoich występach we Włoszech. Jest to już drużyna prawie zawodowa, z kilkoma graczami, należącymi do reprezentacji Węgier. Jak dużo zainteresowania budzą w mieście naszem wszelkie spotkania międzynarodowe, wystarczy nadmienić, że mimo zupełnie zimowego chłodu publiczności było niespodziewanie dużo. Eleganckie damy zasiadały w lożach z przywiezionemi z sobą pledami na nogach. Pośród publiczności z przyjemnością widzieliśmy Kornela Makuszyńskiego, kilku poetów „Skamandra", artystów malarzy, sfery teatralne, nawet uniwersyteckie.

Mimo wysiłków ze strony „Polonji" spotkanie to nie mogło być dla nich zwycięskie. Jak zwykle pod bramką, akcja więdła, i ładnie nieraz kombinowana piłka doczekać się nie mogła finalnego efektu. Zupełnie przeciwnie niż u Węgrów. Tam na piłkę podaną przez skrzydła już czekają, i prawie bezpośrednio następuje mniej lub więcej udany strzał. Że tego nie było zbyt dużo, było to zasługą w pierwszej linji Lotha, II bramkarza, którego przyrodzone warunki i talent sportowy uderzają nawet nieobeznanych z piłką nożną. Pierwszy dzień zawodów zakończył się rezultatem 4:2 na korzyść Węgrów. Nadmienić trzeba, że z sześciu powyższych bramek, najładniejszą strzelił Hamburgier z „Polonji", czyniąc tem wielką przyjemność zebranym tłumom. W drugim dniu „Polonja" ograniczyła się już prawie tylko do bohaterskiej defenzywy. Atak wogóle nie miał okazji do żadnych działań. Dzięki więc obronie (Loth II, Czyżewski, Hamburgier) Węgrzy nie bez trudu uzyskali dwie bramki (Sedlaczek, Hirtzer.



Z szeregu rozgrywek o mistrzowstwo odbyło się spotkanie „Polonji" z „Warszawianką" z rezultatem remisowym 1:1. O matchu tym przyjemniej było by nie pisać wcale. Trudno zdecydować, czy zadymka śnieżna, czy też bezwładna i brzydka walka o punkty, bardziej nieprzyjemne zostawiły po sobie wspomnienia. Zupełnie przeciwnie, niż spotkanie tejże „Polonji" z „Legją". Pośród miejscowych zawodów piłkarskich w sezonie bieżącym to właśnie spotkanie było jedyną przyjemnością, gdzie drużyny przeciwstawiły się sobie umiejętnościami, nie wypaczając charakteru i nie ujmując wdzięku sportowego grze samej. Match skończył się rezultatem 2:0 na korzyść „Polonji". Większą przewagą skończyły się zawody tej samej „Polonji" z drużyną Związku Akademickiego (5:1).

Interesujący był match towarzyski „Jutrzenki" (Kraków) z „Polonją". Goście mimo dużej techniki, żywo i ambitnie prowadzonej gry, nie mogli uzyskać wielkiego rezultatu (1:1). Atak, tak jak i u „Polonji", dość słaby. Match „Legji" z Ak. Zw. Sp. z rezultatem 5:1.

Przed zawodami międzymiastowemi (Poznań—Warszawa) odbył się match drużyn mięszanych z pośród najlepszych warszawskich. Team A przeciwko Team B. Interesujące to spotkanie wydało rezultaty dość nieoczekiwane. Team B wygrał w stosunku 3:1. Dużo będzie kłopotu z ustalaniem drużyny reprezentacyjnej, oby z dobrym skutkiem. W dalszym ciągu posypał się szereg niespodzianek w dniu 3 maja. „Makabja" bije „Harcerzy" 2:1 (obydwie drużyny z klasy B), „Ak. Zw. Sp." bije „Legję 2:0, „Warszawianka" bije „Polonję" 3:2. Może więc i ostateczne rozgrywki o mistrzowstwo Okręgu Warszaw. przyniosą niespodzianki. Zobaczymy.

W. P

Wogóle to i owo

Odsłonięcie pomnika ks. Józefa Poniatowskiego wraz z gościną w Polsce Marszałka Francji, Polski i Wielkiej Brytanji Ferdynanda Focha, rocznica przytem święta 3 maja nastręczyły narodowi polskiemu procz radosnych rozczuleń i serdecznych wzruszeń wiele przykrości, smutków, nawet cierpień.

W pierwszym rzędzie przyczyniły się do tego odznaczenia; słychać było rozmowy:

— Panie drogi, jakiem prawem, zaco jemu dali gwiazdkę?

— Ba, żebym wiedział! Najciekawsze, gdzie on ją będzie nosił? Może przy tym wyświechtanym tużurku w którym zginał się we dwoje przed Franciszkiem Józefem?

— A co pan chcesz — napewno zato! Albo temu!... Chyba za gadanie, którego nikt wysłuchać do końca nie może.

— Ja już... ale, co tu dużo mówić!

— Wiem, wiem!

— Nie wiesz pan! Mówię panu frak, smoking i anglez... policz pan, ile to teraz kosztuje.

— Teraz, pan sobie sprawił?

— Teraz.

— I poco?

— Lubię głupie pytania!

— Panie jeśli pana gryzie zawiść, to może jednakby pan do mnie zwracał się trochę inaczej!

— Eee tam.

— Nie eeetam, tylko tak!

— Dlaczego pan mnie irytuje? Niechże pan zrozumie że ja teraz muszę krawcowi przez siedm miesięcy płacić raty we frankach szwajcarskich.

— Przepraszam pana. Rozumiem!

Milicja obywatelska, zmobilizowana na uroczystości, sprawowała swoje czynności pod pieskiem.

Co który grubszy milicjant ładował się ze swemi plecami na pierwsze miejsce, zasłaniając wszystko, co chciał widzieć np. senator, co musiał widzieć dziennikarz. Mamy nadzieję, że władze miejskie, nauczone doświadczeniem, w razie podobnych uroczystości wyślą zmobilizowaną milicję obywatelską daleko poza stolicę.

Orkiestra pod dyrekcją p. Sielskiego gra—ustawiona naprzeciw pomnika—hymn narodowy. Milicjant obywatelski, starszy obywatel z przepaską, potyka się i wpada na klarnecistę.

— Niech, pana djabli wezmą, przyciąłem sobie przez pana język! — złorzeczy z bólu klarnecista.

— A cóż to ja widzę pański język, czy co? — tłumaczy się milicjant.

— Co pan chcesz, żebym ja miał dla pana ozór do pasa! — odpowiada oburzony muzykant.

Jeden z mówców podczas ostatnich uroczystości zapomniał języka w ustach. Mowy jego słuchano z zapartym oddechem, rozmaicie to sobie komentując.

Dziewczynkę, którą pocałował w Częstochowie Marszałek Foch, oprawiono w srebrne ramki. Miejsce całowane oznaczono strzałką, pod nią zaś wypisano: 2-5 — 1923 r.



MARSZAŁEK FOCH W POLSCE
jako pierwszy gość na wystawie francuskiej w kamienicy Baryczków

We Francji podano projekt, ażeby opodatkować pseudonimy; jakiż olbrzymi dochód miałby nasz skarb, gdyby płacili specjalny podatek wszyscy zmieniający legalnie czy też nielegalnie swoje nazwiska.

Pewna piękność, zapytana, czy stroi się, aby wzbudzać zadowolenie mężczyzn, „Nie", odpowiedziała, „raczej niezadowolenie kobiet".

— Musisz być moją!

Okrzyk ten rozbrzmiewa teraz powszechnie w naszej nadwiślańskiej stolicy. Wyfrunął daleko poza mury „Komedji"...

Wiosna jest. Rozpoczyna wiadome czynności ogrodnik. A młódź warszawska idzie w jego ślady z całem zaparciem się siebie. I zarówno na Wąskim Dunaju, jak w Alei Ujazdowskiej, na Woli i w Łazienkach, w knajpie na Rycerskiej i na dancingu w Bristolu władny głos wtóruje Jurkowi Leszczyńskiemu:

— Musisz być moją!

Zaślubiny dyr. Szyfmana z „Komedją", osobą bardzo złego prowadzenia (bez „się"), odbyły się pod dobrą wróżbą.

Przezacny dyrektor wyciągnął kobietę z błota, w którem grzęzła, ochędożył, wystroił i uczynił zupełnie „przyzwoitą".

Nie odbyło się tam bez drobnych przykrostek podczas tego ślubu. P. Kamińska rzuciła się Fertnerowi na szyję tak namiętnie, że zrobił się biały jak chusta. Cały puder ze ślicznych ramion p. Kamińskiej przesypał się na marynarkę biednego Fertnera.

Wierzyłem, gdy mi mówiono, że p. Majdrowiczówna jest osóbką niezwykle lekką (*„Honny soit qui mal y pense"*), tem bardziej, że przy wiotkości jej postaci wcale inaczej być nie może. Wierzyłem nawet, że się podobno z pewnym lotnikiem puszcza (aeroplanem, oczywiście). Ale, że fruwa wogóle, nie uwierzyłbym nigdy, gdybym nie ujrzał na własne oczy jej pantofelków, gdy siedziała na stole. Były tak nieskalane, obcasiki i podeszewki tak nietknięte, że mowy niema o tem, aby dotknęły się ziemi choć raz jedyny. Szczęśliwa kobieta...

Z tejże wreszcie sztuki dowiadujemy się, że prawdziwie wykwintne paryżanki ubierają się nie u Paquina czy Wortha, a w zakątkach miasteczek prowincjonalnych. Gdy p. Kamińska wyjeżdżała gdzieś do Montrésor (czy coś w tym rodzaju), miała na sobie czerwoną suknię domową i zabrała ze sobą zaledwie małą walizeczkę. Wróciła zaś we wspaniałej toalecie, niczem od Zmigrydera. Dobre krawcowe muszą być w Montrésor...

I już tylko ostatnia uwaga na ten temat. W oryginale sztuka nazywa się: *„Pour avoir Adrienne"*. Wydało się to dyr. Szyfmanowi za mało frapującem. Zapragnął tytułu bardziej bojowego i „boy'owego". Dopiero z nowym tytułem Boy śmiało ruszył do boju i z okrzykiem „Musisz być moją!" odniósł świetne zwycięstwo.

Jest taki jeden blagier, nazywa się de Curel, który twierdzi, że pewna parka, oddając się rozkoszom miłosnym, pragnęła całą noc, aby partner usnął i umożliwił zastrzelenie go brauningiem, znajdującym się pod poduszką. Oczywiście do tego nie doszło, bo dojść nie mogło, ale za samo dopuszczenie takich możliwości należałoby cynicznego teoretyka i blagiera de Curela pobić nader dotkliwie.

L-SKI



FORPOCZTY MODY

Chustki do nosa męskie białe, z batystu lnianego lub fularu, z dużemi, pięknemi monogramami są modne zawsze; w ostatnich czasach weszły w modę chustki batikowane na miękkim crêpe de chinie, przeważnie w desenie wschodnie, bardzo barwne. Chustki te są tak duże, że można je obwiązać dokoła szyi, aby chroniły od przeziębienia po tennisie lub innym sporcie.

Skarpetki modne są przeważnie ciemne, pod kolor ubrania, z haftowaną baguetką; wyłącznie do sportu używane są skarpetki wełniane w pasy, w kraty lub inne desenie. Na lato przewidywany jest powrót skarpetek białych i jasnopiaskowych, jak za czasów naszych pradziadków.

Pomiędzy paryskiemi „petits riens" bieżącego sezonu pojawiły się bransoletki z kwiatków lub galoników srebrnych i złotych, przez które przeciągnięta jest kolorowa jedwabna chusteczka. Nowość tę zauważyliśmy u nas w wystawach Hersego i Zmigrydera.

Profesor Browning dowodzi, że pończochy jedwabne są bardziej higjeniczne, niż bawełniane lub nawet wełniane, gdyż chronią od zmian temperatury. Cieszcie się, moje Panie, możecie być praktyczne i piękne jednocześnie.

PORADY KOSMETYCZNE

Stokrotce. Na noc nasmarować twarz i ręce Kremem Kalina, rano mleczkiem różanem, to i pierzchnięcie się wygoi i skóra będzie gładka i delikatna. Oba preparaty dostanie Stokrotka w Gabinecie Kosmetycznym p. Miarewskiej, Hoża № 50.

Zamartwionej. Płynem Tuja smarować raz dziennie, to tak piegi jak i plamy zupełnie znikną.

Lodzi. Skoro włosy już przestały wypadać — to zbyteczne stosować Eos.

Maniusi. Wymyć starannie głowę wodą z mydłem i wcierać płyn „Eos" co trzeci dzień. Mniej więcej 4 — 5 razy natrzeć należy. Pamiętać proszę przesiarkować ubranie głowy, również — wygotować w wodzie z mydłem grzebienie i szczotki. Stanowczo upewniam, że włosy szybko rosnąć będą.

Upośledzonej. Nie należy oddawać się rozpaczy, obecnie, przy wielkim postępie kosmetyki, ślady po ospie wygładzić można tak, że ich wcale nie będzie znać. Procedura usunięcia śladów po ospie jest dość skomplikowana. Zechce Szan. Pani zgłosić się do mego zakładu leczniczo-kosmetycznego, Niecała № 5, — lub podać swój właściwy adres, to wyczerpujące dam wyjaśnienia i tych dziobów Pani się pozbędzie.

Lotnikowi Z. Kurzajki i znamiona najpewniej w krótkim czasie usunąć można kauterem elektrycznym, lapis — słabo — albo wcale nie działa.

Niezapominajce. Szorstkość czyli gęsią skórę usunie Pani piaskiem alkalicznym D-ra Seguinaud'a. Listy z zapytaniami adresować: Zakład Kosmetyczno-leczniczy Niecała № 5 Klimecki.

Annie z Pokucia. Przy suchej cerze mydła potażowe szkodzą. Najlepiej myć się otrąbkami migdałowemi a w braku takowych pszennemi. Na noc natłuszczać czystym olejkiem migdałowym, to zupełnie wystarczy.

Litwince Z. Tuja, tylko Tuja szybko usunie piegi. Tuja jest to płyn roślinny, szybko schnie, nie brudzi bielizny i wspaniale działa. Kapeluszy czarnych nie nosić, bo kolory czarne przyciągają słoneczne promienie, przez co pigmenty powiększają się.

W. KLIMECKI

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
Warszawa, Mazowiecka 11 (w druk. „Rola")
Telefon 180-27

ODDZIAŁ REDAKCJI i ADMINISTRACJI
we Lwowie, J. Kuczabiński, ul. Turecka 2

SKŁAD GŁÓWNY:
Księgarnia E. WENDE i S-ka Warszawa,
ul. Krakowskie-Przedmieście 9, tel. 14-15

Nakładem:
TOW. WYDAWNICZEGO „PANI"

Kierownik Artystyczno-literacki:
JAN ŻYZNOWSKI

Odbito w drukarni J. Buriana, Mazowiecka 11.